Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 8

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

Słów kilka o zmęczeniu i znużeniu

Światłej pamięci wybitnego higienisty, prof. U-tu Wileńskiego Dr. Med. Kazimierza Karaffy Korbutta, przedwcześnie zmarłego w Wilnie, dnia 25 stycznia 1935 roku.

Wszelka praca, zarówno mechaniczna jak i umysłowa, pociąga za sobą zużycie energji, które to zużycie w normalnych warunkach higjenicznych i przy odpowiednim odpoczynku nie powoduje widocznych strat w ogólnym bilansie tej energji. Zgoła inaczej przedstawia się postać rzeczy, gdy mamy do czynienia z pracą wytężoną, przekraczającą siły i możliwości pracującego osobnika, odbywającej się w dodatku w nieodpowiedniej pod względem higjenicznym i psychicznym atmosferze. W tym wypadku, niezależnie od tego, czy w grę wchodzi mięśniowy czy też mózgowy element pracy, występują w organiźmie pewne zjawiska o charakterze chemicznym, nad procesami asymilacji poczynają przeważać procesy rozkładu, w następstwie czego nagromadzają się w tkankach ustroju swoiste substancje trujące. Mówimy wtedy o szkodliwości pracy w postaci zmęczenia i znużenia.

Wśród licznych zagadnień z dziedziny higjeny pracy kwestja zmęczenia i znużenia, aczkolwiek pierwszorzędnego nietylko pod względem teoretycznym, ale i praktycznym nabiera znaczenia, to jednak nie może być uważana w chwili obecnej za rozstrzygniętą definitywnie, istniejące bowiem w nauce dane w odniesieniu do stotnych przyczyn zmęczenia i znużenia posiadają dotychczas charakter hipotetyczny.

Nie ulega wątpliwości, że źródła zmęczenia należy się dopatrywać w metaboliźmie pracującego ustroju, we wzmożeniu w nim procesów przemiany materji, w nadmiernem zużywaniu substancji energjotwórczych, a co za tem idzie, w wytwarzaniu się pewnych mało nam znanych, składników trujących („kenotoksyny" Weychardt'a, „jady ponogeniczne" J. Joteyko). Owe składniki bynajmniej nie umiejscawiają się w narządach pracujących (np. w grupach mięśni), przechodzą do krwi, drażniąc zakończenia nerwów czuciowych i ruchowych mięśni, obniżając siłę funkcjonalną całego organizmu, przenikają do ośrodków mózgowych, sprowadzając ich zatrucie, powodując obniżenie zdolności do wytwarzania podniet.

Rozpatrywane pod kątem widzenia powszechnie przyjętej w nauce teorji toksycznej zmęczenie, jest skomplikowanem zjawiskiem psychofizjologicznem, polegającem w ogólnych zarysach na stopniowem zanikaniu pobudliwości wykonujących pracę narządów, a stanowiącem podłoże stanu psychicznego, znużeniem zwanego.

Uczucie znużenia, jakkolwiek jest objawem wybitnie patologicznym, ważną odgrywa rolę biologiczną, będąc bowiem wyrazem samoobrony organizmu, chroni pracującego osobnika przed całkowitem wyczerpaniem energji, jakby uprzedza go, że zmęczenie przeszło granice i stało się niebezpiecznem dla zdrowia przemęczeniem. Niemniej pożytecznym sygnałem ostrzegawczym jest i zmęczenie, od którego, jak wiadomo, młodzież szkolna broni się w drodze rozpraszania uwagi, a personel pedagogiczny potrzebą zahamowania aktywnych impulsów woli, dzięki czemu praca jego staje się automatyczną i zmechanizowaną, a jest nawet rzecz oczywista, małowartościową.

Podział zmęczenia na fizyczne i psychiczne nie wydaje się być w dostatecznej mierze uzasadnionym, chociażby z tego względu, że każde zmęczenie, jest przejawem samozatrucia organizmu in toto, dla tej prostej chociażby przyczyny, że, jak uczy nas doświadczenie codzienne, pomiędzy wyczerpaniem mięśniowem, a pewnemi stanami psychicznemi istnieje stały związek w tym sensie, że zmęczenie fizyczne wywiera wpływ na zmęczenie psychiczne i naodwrót, że wyczerpanie umysłowe ujemnie w wielu razach działa na pozostające w spokoju mięśnie.

Z pośród czynników, powodujących stan przemęczenia, czołowe miejsce należy się tym, które w jakikolwiekbądź sposób przyczyniają się do wyczerpania sił osobnika, do jego wyzysku, do poniżenia jego godności ludzkiej. Do tego rodzaju szkodliwości w pierwszym rzędzie dadzą się zaliczyć: złe odżywianie, przebywanie w zepsutem powietrzu, niedostateczny sen i wypoczynek, wreszcie niezapewniające pracującemu i jego rodzinie znośnej chociażby egzystencji wynagrodzenie za pracę. Do kategorji przyczyn, sprowadzających zmęczenie i znużenie, zalicza się również praca, niewymagająca w zasadzie znaczniejszych wysiłków, to jednak obniżająca psychiczną energję czy to przez swoją jednostajność i monotonję, czy to na skutek tego, że „nie odpowiada upodobaniom osobnika i odbywa się pod przymusem i pod knutem".

U zmęczonego człowieka wszystkie bez wyjątku narządy są w stanie zmniejszonej sprawności; uskarża się on na brak sił i chęci do pracy, a jeśli w dalszym ciągu, mimo złego stanu samopoczucia, zmuszony jest pracować to jego ustrój ze swoich rezerw braki energji uzupełnia. Przemęczonemu umysłowo osobnikowi towarzyszą uczucia osłabienia, ospałości, rozbicia, nudy, zniechęcenia i depresji moralnej, doznaje on ociężałości w myśleniu, niemożności skupienia uwagi, zaniku zainteresowania objektem pracy; nawet po wypoczynku odczuwa znużenie przed przystąpieniem do pracy.

Jak wykazują liczne badania eksperymentalne, wszystkie czynności psychiczne człowieka dotkniętego zmęczeniem pozostają w stanie upośledzenia: na skutek zmniejszonej uwagi zwalnia się tempo pracy, zwiększa się ilość błędów, pogarsza się wynik poczynionych wysiłków; postrzeganie słabną; kojarzenie wyobrażeń staje się ubogie; obniża się zdolność pamięciowa; zmniejsza się jakość procesów myślenia; impulsy woli nie są w stanie sięgnąć do rezerw energji wyczerpanego ustroju. Podany wyżej obraz znużenia bardziej jeszcze pogłębiają przeżycia wewnętrzne o nieprzyjemnem zabarwieniu uczuciowem, jak smutek zmartwienie, troski różnego rodzaju, nastrój obawy itd., których rola w powstawaniu dyspozycji nerwowych i ciężkich niekiedy stanów neurotycznych nie może być kwestjonowana. W odwrotnym kierunku działają na ustrój pracujący uczucia i wzruszenia o zabarwieniu przyjemnem. — pod wpływem tych czynników psychicznych zwiększa się wydajność pracy i opóźnia się wystąpienie objawów znużenia. Wystarczy wspomnieć o nieznającem zmęczenia przywiązaniu troskliwej matki do swej bezradnej dziecinv, o zainteresowaniu się uczonego absorbującym jego umysł problemem.

Przedwczesne wyczerpanie sił żywotnych w następstwie nieodpowiedniej pracy spotykamy na każdym niemal kroku, przedewszystkiem tam, gdzie praca nie daje wewnętrznego zadowolenia, gdzie głównym jej motorem jest element przymusu, a więc wśród zbyt mało oddanych swemu posłannictwu, nienawidzących młodzież nauczycieli, wśród źle opłacanych, niepewnych jutra i maltretowanych urzędników, wśród lekceważących cierpienie pacjenta lekarzy. Objawy przedwczesnego znużenia obserwujemy u naszej młodzieży, zarówno szkolnej jak i akademickiej, zwłaszcza wśród tego jej odłamu, który zdradza brak zainteresowania przedmiotami nauki szkolnej, który w wyborze zawodu kieruje się wyłącznie względami praktycznemi, a tak mało pobudkami natury wyższej. Skutków przemęczenia pracą dopatrujemy się w tych wypadkach, gdzie ta ostatnia nie jest uważana jako fizjologiczna funkcja normalnego organizmu, lecz jako ostateczna konieczność, ciężar, katorga. Tak rozumiana praca siłą rzeczy staje się czynnikiem usposabiającym do niewydolności nerwowej, czynnikiem, stany bezwartościowości psychicznej, wywołującym.

Dr. WACŁAW ODYNIEC (WILNO)

Z dziejów Secret Service

Z wydanej niedawno książki M. G. Richingsa p. t. „Szpiegostwo" dowiadujemy się dużo interesujących szczegółów o powstaniu i początkowych stadjach Secret Service. W r. 1434, a więc za regencji w czasie małoletności Henryka VI ukazała się proklamacja królewska, stwarzająca urząd „państwowego wywiadowcy". Atoli prawdziwym twórcą „tajnej służby" był Henryk VII (1485—1509). Łatwo zrozumieć, że pierwszy z Tudorów, którego prawo do tronu poważnie kwestjonowano, starał się przy pomocy swych agentów badać nastroje ludności i paraliżować ewentualne spiski. Z drugiej strony jego panowanie rozpoczyna okres słabości parlamentu i maskowanego absolutyzmu królów, którzy chcieli wiedzieć, co mówią i zamierzają magnaci, ludzie wpływowi i nawet ich właśni ministrowie.

Nie trzeba sobie wyobrażać, jakoby w tych czasach rzemiosło szpiega było dobrze płatne. Wybierano do niego wyrzutków społeczeństwa, a w najlepszym razie ludzi zdeklasowanych. Najczęściej wisiały nad nimi wyroki lub przerwane śledztwa. Gdyby szpieg źle się sprawował, można go było wtrącić do więzienia lub nawet powiesić. To też wynagradzano go bardzo skąpo. Rachunki prywatnej szkatuły królewskiej z czasu Henryka VII zawierają pozycję: „Człowiekowi z brodą, szpiegowi jako wynagrodzenie — 1 funt".

Ten sam król wprowadził również szyfry w korespondencji dyplomatycznej, polecając ich używanie swemu ambasadorowi hiszpańskiemu.

Książka Richingsa staje się szczególnie zajmująca, gdy autor dochodzi do czasów Elżbiety. Szpiegostwo zwracało się w tym czasie głównie przeciw katolikom i trzeba przyznać, że funkcjonowało świetnie. W przeciwnym razie byłby niewątpliwie udał się jeden z licznych spisków na życie Elżbiety. Po prowincji węszono przedewszystkiem za tajnemi nabożeństwami katolickiemi i przybywającymi pod przebraniem księżmi z Rzymu i Rheims, gdzie były seminarja, przeznaczone dla Anglików. Wyjeżdżającym zagranicę niewolno było tych dwóch miast odwiedzać, to też bawiło w nich zawsze po kilku agentów. Udawali oni katolików, wstępowali do seminarjów i nieraz cieszyli się zaufaniem wysokich dostojników Kościoła. Za powrotem do Anglji wydawali w ręce kata szereg ludzi. Współczesny Szekspirowi podrzędny dramaturg Antoni Munday, spędził dłuższy czas w Rzymie. Denuncjował później ludzi, którzy go tam utrzymywali, wydał nawet broszurę, gdzie opisał swą haniebną

ną działalność. nie zapominając o szczegółach egzekucji swych ofiar. Zdaje się, że funkcje szpiegowskie pełnił również poeta Jerzy Gascoigne. Należało to do zarzutów, jakie poczyniono mu, gdy został wybrany do Izby Gmin i rzeczywiście usunięto go z jej składu W pewnych stosunkach z notorycznymi szpiegami pozostawał i największy z poprzedników Szekspira, Marlowe. Kto wie, czy nie to było przyczyną jego tragicznej śmierci (zabójcę ułaskawiono). Ale sprawa jest zawikłana i prawdopodobnie nigdy nie da się wyświetlić. Nie wiemy, czy Krzysztof Marlin z seminarjum z Rheims był identyczny z poetą.

Osiadły w Londynie Włoch Florio, i tłumacz Montaigne'a, był również na autor słownika angielsko - włoskiego usługach Secret Service. Przez jakiś czas pozostawał jako nauczyciel u ambasadora francuskiego i dostarczał informacyj o jej stosunkach z uwięzioną Marją Stuart, przyczyniając się do wykrycia sprzysiężenia Babingtona. A gdy miano w ręku poszlaki i znano nazwiska ludzi, resztę robiły — tortury.

Warto było przytoczyć tu przykłady ze świata literackiego za Elżbiety. Dowodzą one, jak rozgałęziona była sieć tajnego wywiadu.

Richings zajmuje się głównie dawniejszemi czasami. Okres wielkiej wojny zbywa sześciu stronami. Obawiał się zapewne, aby nie spotkał go los Comptona Mackenzie, którego wspomnienia ze służby wywiadowczej w Grecji skonfiskowano. Inną grubą rybą Secret Service był w tym czasie znany powieściopisarz Somerset Maugham.

W. T.

Władysław Krzyżanowski



Wł. Krzyżanowski — Portret.

Przewaga pierwiastków konstrukcyjnych w sztuce polskiej doby ostatniej, jak i też silnie zaznaczające się dążenie do dekoratywności — czego najpełniejszym wyrazem stała się grupa artystów zrzeszonych w „Rytmie" — nie pozwoliła nam ogarnąć całokształtu malarstwa współczesnego. Nie ulega dziś żadnej wątpliwości, że dwa te dążenia jak i też u niektórych artystów, oparcie się o tradycje rodzinne czy sztukę ludową, stanowiły w wielkiej mierze podstawę twórczości polskiej. Wystarczy wymienić nazwiska Skoczylasa, Stryjeńskiej, Szczepkowskiego, Stryjeńskiego, Jastrzębskiego, by zobrazować wysiłki artystów polskich w czasie od r. 1915 — 1925.

I trzeba — mimo wszczynającej się dziś reakcji stwierdzić, że dzieła tych artystów stanowią w rozwoju sztuki polskiej ważny etap, który na tle porównawczem sztuki europejskiej zachowuje swą odrębność. Reakcja, która z dniem każdym przybiera na sile, zwraca jednak uwagę naszą na problemy inne. Artyści starają się w pierwszym rzędzie podtrzymywać kontakt z aktualnemi dążeniami sztuki zachodniej i oddać się wyłącznie problemom czysto malarskim.

Zwrócenie się do problemów wyłącznie malarskich nie musi być równoznaczne z malarskiem ujęciem rzeczywistości. Tkwi w tem pewien powrót, a raczej nawrót do postulatów malarstwa sztalugowego i do jego dyscyplin. Pod wpływem Matisse'a i Gauguin'a, zaznaczało się nawet w Paryżu przez czas jakiś zobojętnienie dla tych zagadnień. Wynikało to przedewszystkiem z przewagi dekoratywności, z ograniczania się do dwumiaru płaszczyzny obrazowej, wreszcie kubizmu, co spowodowało zaniedbanie strony czysto malarskiej, jak i też związanych z tem problemów barwy. Zaniedbanie ich nie znaczyło bynajmniej ich porzucenia w ogólnym rozwoju, musiały one jednak ustąpić przed innemi tendencjami, które wysunęły się na plan pierwszy.

Temniemniej obraz sztuki nie przedstawiał się jednolicie, nigdy nie występowało równocześnie tak silne zróżnicowanie dążeń artystycznych, jak w ostatnich dziesięcioleciach, a czasowe przodowanie pewnej idei przed innemi, świadczyło tylko o jej żywotności i związku z aktualnością chwili, nie wykluczało jednak koegzystencji podobnych lub nawet różnych dążeń. Toteż wzrost znaczenia pewnego problemu w rozwoju malarstwa nowoczesnego opiera się zazwyczaj o poprzednie priora. Podobnie się też ma sprawa z obecną przemianą pojęć.

Również i w malarstwie polskiem znajdujemy się w chwili przekształtowania samych podstaw. Nigdy może w ostatnich czasach walka o pewne idee i pojęcia nieodbywała się z równą siłą i natężeniem. Świadczą o tem liczne polemiki artystów i ich enuncjacje, zrzeszanie się w grupy ideowe, dążenie do wspólnych wystaw pokrewnych tendencjami artystów — wszystko to, aby społeczeństwu narzucić nową prawdę artystyczną. Najsilniej zaś akcentuje się potrzebę oparcia się o zdobycze sztuki europejskiej i korzystania z jej ostatnich przemian.

I rzecz szczególna, wielu z artystów przodujących dziś (Wacław Wąsowicz, Tytus Czyżewski) posiada już za sobą poważny dorobek. W obecnem stadjum swej twórczości wnoszą oni wprawdzie inne, nowe problemy, istnieje jednak w ich rozwoju pewna ciągłość, a dzisiejsze ich ukształtowanie jest w dużej mierze uwarunkowane pierwotnemi ich poczynaniami. Tylko, że wysiłki ich uchodziły uwadze ogółu, a nawet w dużej mierze krytyków fachowych, mimo konkretyzowania tych dążeń w polemice i rozprawach teoretycznych. Z przykrością dziś stwierdzić musimy, że duże wysiłki poważnych artystów polskich, podtrzymujących kontakt z aktualnemi prądami w sztuce, pozostawały często niedoceniane, pomijane milczeniem (n. p. co ogół wie dziś o twórczości Kamila Rom. Witkowskiego czy Tytusa Czyżewskiego? Na odkrycie Tadeusza Makowskiego trzeba było jego śmierci, a obraz dążeń kształtujących sztukę współczesną polską pozostawał niekompletny.



Władysław Krzyżanowski: Pejzaż (kompozycja z roku 1914).

Niedoceniane mimo wszystko jest znaczenie formistów, których zbiorowy wysiłek w latach 1917 — 1920 uwarunkował rozwój nowoczesnej sztuki polskiej. Odosobnione dążenia zaznaczają się u niektórych jednostek o kilka lat wcześniej. Jeśli wspólna akcja silnych indywidualności, mimo świetnych niekiedy rezultatów, nie jest w pełni doceniana, tem bardziej grozi pomijanie dążeniom odosobnionym, nieraz równie cennym.

Jednostką odosobnioną, aczkolwiek silną i świadomą swych intencyj twórczych jest w nowoczesnej sztuce polskiej Władysław Krzyżanowski. Stawianie go dziś w rzędzie pierwszych modernistów polskich jest zapewne dla wielu niespodzianką. Krzyżanowski bowiem nie szukał nigdy rozgłosu, unikał wystaw (wystawiał zaledwie kilka razy). Natura artystyczna niezwykle subtelna i wrażliwa, ucierpiał wiele, gdy po skrystalizowaniu własnego światopoglądu w sztuce, został porwany w wir wojny światowej. Gdy w r. 1914 powracał z Paryża, zaskoczyła go wojna w drodze do kraju. Od pierwszych dni wojny aż do ostatnich walk z bolszewikami bierze w niej czynny udział. Boje na froncie, rany, długotrwała choroba tak oddziałały na psychikę artysty, że odebrały mu radość tworzenia. I dopiero powoli artysta powracał do sztuki.

Tem niemniej już pierwsze lata twórczości Władysława Krzyżanowskiego są niezmiernie cenne dla rozwoju nowoczesnej sztuki polskiej. Krzyżanowski bowiem był jednym z najpierwszych nowatorów, którzy przeciwstawili się panującemu podówczas w sztuce polskiej impresjonizmowi i naturalizmowi. Już w latach przedwojennych można u niektórych artystów dopatrywać się pewnych, często nieskonkretyzowanych pragnień zwrócenia się do formy stałej, określonej, do narzucenia formom, opartym o wzory wzięte z przyrody, pewnych prawideł. W malarstwie zwłaszcza nie przybierają te dążenia przed r. 1914 zdecydowanej postaci. Pierwszym zdecydowanym modernistą, który z całą konsekwencją realizował nowy program artystyczny, był Władysław Krzyżanowski. Rola jego w kształtowaniu się nowoczesnej sztuki polskiej była dotychczas niedoceniana, a wypływała z nieznajomości jego pierwszych lat twórczości.

Po wyjściu z Akademji Krakowskiej (1909—1913, studja u prof. Dębickiego i u prof. Pankiewicza) odbywa Krzyżanowski szereg podróży, a po zetknięciu się ze środowiskiem paryskiem przyjącza się do tendencyj kubistycznych. Kubizm podówczas w samym Paryżu powoli dopiero przyciąga wtajemniczonych, choć istnieje już od 1908 r., powstają jeszcze i krystalizują się jego podstawy teoretyczne, ale dla ogółu pozostaje jeszcze długo czemś nieznanem i trudnem do zgłębienia.

Krzyżanowski dopiero po kilku miesiącach zmagań się ze sobą przeobraża się w kubistę. Rok 1914 przynosi w twórczości jego szereg obrazów kubistycznych, w literaturze naszej dotychczas zupełnie nieznanych (znajdują się one po części w zbiorach prywatnych krakowskich).

Zgodnie z teorją kubizmu zarzuca Krzyżanowski wszelkie dotychczasowe prawidła perspektywy, zmierzającej do złudnego oddania rzeczywistości w jej trójwymiarze. Artysta ogranicza się wyłącznie do dwuwymiarowości płaszczyzny płótna i w realizacji swych wymierzeń nie wprowadza żadnych czynników, któreby się po za nią oddalały. To też jedynie przez układ płaszczyzn i ich ustosunkowanie konkretyzuje swe zamierzenia, opierając się na odmiennych prawach optyki, a mimo to nie zatraca trójwymiaru form zjawiskowych. Krzyżanowski przez rozłożenie ich na płaszczyzny, nie dochodzi do ich dematerjalizacji. Zachowują one pewną konkretność kształtu, zbliża się tem artysta do kubizmu francuskiego (Braque), lecz Krzyżanowski wnosi pewne odrębne pierwiastki. Nietylko w układzie płaszczyzn posiada swoisty sposób, ale też zmierza do kompozycji o ściśle określonej konstrukcji, silnie rytmizowanej. Przedewszystkiem jednak zdołał Krzyżanowski kształtom nadać pewne cechy fantastyki, a nawet przepoić je pewnym sentymentem, liryzmem, co podówczas w kubiźmie francuskim było czemś wyjątkowem. Jedynie w twórczości Roger'a de la Fresnaye obecne są te same pierwiastki.

Krzyżanowski zetknąwszy się z potężnem zjawiskiem artystycznem, jakiem był kubizm, przejął jego dążenia, nie zatracił jednak własnej osobowości. A dzieła jego z tego okresu wyprzedzają o lat kilka rozwój ogólny malarstwa naszego. Toteż dziesięć lat, które wyrwała wojna z twórczości Krzyżanowskiego są wręcz stratą niepowetowaną.

Po psychicznem zmaganiu się, powstałem na tle przejść wojennych i ran, artysta wraca wreszcie w 1923 r. do sztuki. Przez kubizm dochodzi tedy do formy zdecydowanej, określonej, związanej jednak bardziej z naturą (1923—1924). O ile jednak pierwotnie w okresie kubistycznym zagadnienie barwy nie egzystowało dla niego — w czem zresztą nie był odosobniony — obecnie barwa zaczyna artystę interesować. Zrazu w związku z formami określonemi, wkońcu jednak barwa staje się wyłącznym czynnikiem kształtującym (1925 r.). Wprawdzie kształty, które artysta zamierza oddać, posiadają swą konkretność i materjalność, co wydobywa wyłącznie przy pomocy barw, i to ciężkich i soczystych. W czasie tym znać pewne oddziaływanie Dèrain'a.

Zagadnienie barwy pociąga artystę coraz to bardziej, powstają portrety, Martwe Natury, krajobrazy oparte czy to o dopełnianie się barw, czy też o prawa kontrastu. Skala barw rozjaśnia się (r. 1927).

Już i sama faktura pociąga Krzyżanowskiego, który jest organizacją nawskróś malarską. — Zaczyna używać szpachtli. — Autoportret z r. 1927 o mistrzowskiem wprost przenikaniu się barw (żółtej i zielonej).

Kolor oddala się coraz to bardziej od natury, zatraca związek z materjalności, nabiera charakteru wręcz wizyjnego. W wizyjności obrazów Krzyżanowskiego niema nic z impresji i chwili przelotnej, jest to zesumowanie, synteza przeżyć i ich utrwalenie. Powstaje szereg pejzaży

w latach 1930—1932 o odrębnem piętnie. Obok walorów kolorystycznych, które artysta podporządkowuje swym koncepcjom, są one wyzwolone od wszelkiej przypadkowości, a wyidealizowane i wysublimowane tchną owe pejzaże najczystszym liryzmem.

Motywem tych krajobrazów są okolice z pod Lwowa, Krzywczyce, Zniesienie, Podzamcze i t. p. W sposób zadziwiający umie Krzyżanowski uchwycić odrębną kolorystykę krajoobrazu polskiego. Na przekór wszystkim modernistom, malującym stale pejzaż Francji południowej, odnajduje on w krajobrazie polskim odpowiednie motywy do nowoczesnej interpretacji formalnej. Analogicznie do słynnego powiedzenia Wilde'a, że dopiero impresjoniści odkryli w Londynie mgłę, rzec można, że Krzyżanowski uczy nas patrzeć na krajobraz lwowski.

Zagadnienie malarskości nęci artystę wyłącznie ze względów kolorystycznych, zwłaszcza w portretach. N. p. portret damy w zielonej sukni na srebrzysto-popielatem tle pozwala rozwinąć gamę tonów niezwykle bogatą. O ile zrazu Krzyżanowski zmierzał do harmonji, wzbogaca później coraz to bardziej nietylko skalę tonów, ale też wprowadza ich zróżnicowanie, a nawet zmienia sposób kładzenia plam i prowadzenia pendzla. W związku z nawrotem aktualnym do postimpresjonizmu i jego zdobyczy, dokonuje się u Krzyżanowskiego ponowna zmiana. W stadjum tem znajduje się obecnie jego twórczość.

Pokrótce naszkicowany rozwój artysty i ustalenie podstaw jego twórczości, pozwalają ocenić wartości, które Krzyżanowski wnosi do współczesnej sztuki polskiej. Niezależnie od wyjątkowego wprost znaczenia jego pierwszego okresu kubistycznego, dalsza jego twórczość nosi na sobie znamiona poważnego i świadomego wysiłku w realizacji wizji barwnej rzeczywistości.

HELENA BLUMÓWNA.

Z historji latarni morskiej

Jednym z donioślejszych pomysłów wynalazczych człowieka, służących do ułatwienia żeglugi morskiej jest obok wynalazku busoli, latarnia morska. Wysyłane przez nią, w porze nocnej, sygnały świetlne; wskazują okrętom właściwy kierunek przy wjeździe do portu lub sygnalizują miejsca dla żeglugi niebezpieczne, jak ławice piaskowe, podwodne rafy i t. d. W dzień mglisty spełnia latarnia swe zadanie przy pomocy sygnałów dźwiękowych, wysyłanych w przestrzeń przez syreny.

Latarnia morska jako znak ostrzegawczy przed niebezpieczeństwem, znana była już w odległej starożytności. Gdy przedsiębiorczy Fenicjanie, pierwsi znani historycznie żeglarze, odbywali swe morskie wędrówki po morzu Śródziemnem, ziomkowie ich, zamieszkujący liczne kolonje nad brzegami tego morza, wzniecali na nadbrzeżnych wzgórzach stosy ogniste, ostrzegające w ten sposób płynące z ojczyzny okręty o grożącem niebezpieczeńswie. Tak mizernie przedstawiały się pierwsze latarnie morskie.

Pierwsza w świecie, w całem tego słowa znaczeniu, latarnia morska stanęła na małej wysepce Pharos u wejścia do portu w Aleksandrji w r. 283 przed Narodz. Chrystusa. Jest ona dziełem Ptolomeusza Sotera. Piękna była ta pierwsza, ze znanych w historji, latarnia i kosztowna. Faaron polecił bowiem, by do jej budowy użyto białego marmuru. Na szczycie tej latarni, której wysokość wynosiła sto metrów, umieszczono wielki metalowy kosz, w którym płonął stale podsycany stos drzewa. Latarnia aleksandryjska rzucała podobno snop światła na 35 km. wokoło.

W czasach późniejszych, gdy żegluga morska czynić zaczęła postępy, przybywało i latarń morskich. Zamiast drzewa zaczęto używać do ich oświetlenia oliwy lub oleju, później nafty, acetylenu, wreszcie w czasach ostatnich prądu elektrycznego. Aby skoncentrować światło rzucane przez lampy, zaczęto używać zwierciadeł i reflektorów. Zmieniały się również sposoby budowania latarń morskich. Dzisiaj podobnie zresztą jak i dawniej, sposób wznoszenia latarni morskiej zależy od terenu na którym ona powstaje. Jeśli latarnia morska ma stanąć na wyniosłym przylądku, skalistej wysepce, lub wciskającem się w morze molo portowem, wówczas sposób jej budowania niewiele różni się zazwyczaj od budowy zwykłej wieży kościelnej. Czasami jednak zachodzi potrzeba wzniesienia latarni w głębi morza, kilka lub kilkanaście kilometrów od brzegu, gdzie głębokość wody dochodzi do 10 metrów. Wówczas konstruuje się na brzegu olbrzymich rozmiarów beczkę bez dna, o średnicy 10 lub więcej metrów. Beczkę tę wykonaną z belek drewnianych i pokrytą smołą zanurza się w morzu w miejscu, w którem ma stanąć latarnia. Brzegi zatopionej beczki wystają oczywiście ponad poziom morza, a spód jej spoczywa na dnie morskiem. Następnie wypompowuje się wodę z wnętrza beczki i wypełnia ją cementem. Na takim bloku nej wysepce w głębi morza, we wnętrzu jej znaleźć muszą pomieszczenie skład żywności, paliwa, mieszkanie latarnika no i oczywiście mechanizm latarni. Ściany mieszkania wykładane są zazwyczaj są korkiem, to w celu uchro-



Latarnia morska na półwyspie helskim. Na przednim planie budynek, na którego dachu umieszczone są muszle potężnych syren, dających znaki w czasie mgły, gdy światło latarni jest słabiej widoczne.

Fot. Aleksander Kołek, Kraków)

cementowym wznosi się żelazobetonową wieżę. Bardziej nowoczesnym sposobem jest budowanie latarni na kesonach.

Jeśli latarnia morska stoi na sztucznienia go przed zimnem. Wysokość dzisiaj istniejących latarń morskich wynosi nierzadko 60 i więcej metrów.

Współczesne latarnie morskie, wyposażone są w światło świecące stale bez przerw, lub zmieniające swe nasilenie, względnie co pewien czas znikające. Większość latarń morskich świeci światłem białem, choć są w użyciu latarnie ze światłem zielonem, względnie czerwonem. Zmianę kolorów światła danej latarni, względnie jego znikanie, wykonuje precyzyjny mechanizm, który przesuwa kolorowe szyby, obraca system zwierciadeł, względnie soczewek, lub wreszcie nasuwa zasłony na źródło światła, co z dala czyni wrażenie gaśnięcia latarni. Jeśli latarnia morska świeci światłem przerywanem, wówczas błyski te powtarzają się regularnie, co pewną; dokładnie określoną, ilość sekund. A więc latarnia zaświeca się na pewną ilość sekund, następnie gaśnie również na kilka sekund i znowu zaświeca się. Sposób świecenia głównych latarń morskich opisany jest w księdze każdego okrętu, tak że w razie stracenia orjentacji np. w czasie burzy, załoga okrętu może zorjentować się po sposobie świecenia dostrzeżonej latarni morskiej, w którem miejscu znajduje się w danej chwili.

Wąziutki skrawek polskiego wybrzeża wyposażony jest w cztery latarnie morskie. Jedna z nich stoi na wzgórzu oksywskiem, panującem nad portem gdyńskim, druga na najbardziej wysuniętym w morze cyplu półwyspu helskiego, trzecia w Jastarni, wreszcie czwarta; najpotężniejsza w Rozewiu. Elektryczne światło latarni morskiej w Rozewiu o sile 7 miljonów świec, widoczne jest w promieniu 46 km.

Potężny błysk latarni morskiej w Rozewiu, powtarzający się dwadzieścia razy na minutę wywołuje u człowieka, który po raz pierwszy znalazł się w tej okolicy, wrażenie niezwykłe. Błysk tej latarni, widziany w pochmurną noc letnią; zda się być zwiastunem nadchodzącej burzy, spowodu swej oślepiającej jasności brany jest w pierwszej chwili za błyskawicę przez letników, którzy przyjechawszy po raz pierwszy nad polskie morze, wybierając się na wieczorny spacer nad brzeg Bałtyku.

ak.

Pamiętnik aktorki

Ogólne zainteresowanie wzbudziła w Stanach Zjednoczonych i w Anglji autobiografja Miss Ewy La Gallienne, córki znanego poety i wybitnej artystki dramatycznej, z pochodzenia Angielki, która działała jednak w Ameryce. Widocznie ażeby uniknąć nieporozumień co do swego wieku — autobiografje piszą ludzie starzy, — Miss Ewa zatytułowała książkę „W wieku lat trzydziestu trzech".

Rodzice jej rozeszli się, gdy była dzieckiem, i wychowywała się u matki w Paryżu. W domu bywała aktorka Konstancja Colier i czytywała jej głośno Szekspira. To też Ewa już od zarania życia marzyła o zostaniu artystką. Interesowało ją wszystko, czego mogła się dowiedzieć o gwiazdach teatru. Pragnęła koniecznie poznać pamiętniki Sary Bernhardt. Były wyczerpane. Jeden ze znajomych pożyczył młodej entuzjastce egzemplarz, który oddała po ośmiu miesiącach, przepisawszy całych 800 stron druku.

W tym samym mniej więcej czasie, koło 15 roku życia wystąpiła po raz pierwszy. zresztą tylko jako statystka, w „Monnie Vannie", reżyserowanej przez Miss Collier.

Już jako znana artystka miała Miss La Gallienne sposobność zobaczyć w Londynie Eleonorę Duse. Gra Włoszki tak podziałała na koleżankę angielską, że ta pragnęła być jak najbliżej. Poszła do kancelarji teatru i prosiła. aby pozwolono jej siąść na ziemi przed pierwszym rzędem foteli. Trudno było odmówić i Miss La Galienne tak wysłuchała reszty przedsawienia. Zapomniała o całym świecie. Zgubiła wtedy kapelusz, zarzutkę i torebkę, a wyszedłszy z teatru przez kilka godzin błądziła, zamyślona, po ulicach.



Te zajmujące epizody z życia Miss Ewy charakteryzują jej zapał dla sztuki. Ale dała ona i lepsze dowody tego zapału. Długo marzyła o tem. aby kierować własnym teatrem, a gdy marzenia spełniły się, nie poszła bynajmniej po linji najmniejszego oporu. Nie zwracając uwagi na stronę materjalną, stworzyła w Nowym Yorku w r. 1926 teatr repertuarowy.

Nazwa wymaga wyjaśnienia. W świecie anglosaskim niema teatrów, utrzymywanych lub subwencjonowanych przez państwo czy gminę (choć są teatry. oparte na fundacjach). To też przedsiębiorcy unikają kosztów, jakie powoduja czeste zmiany na afiszu. Ich ideałem jest grać tę samą sztukę kilkadziesiąt, nieraz kilkaset razy (w pewnych wypadkach trwało to przez lat parę). Taki system nie rozwija talentów aktorskich i nie otwiera przed publicznością coraz nowych horyzontów — a jest stosowany przedewszystkiem po wielkich miastach, gdzie widz ma do wyboru znaczniejszą ilość teatrów. gdzie zresztą panuje większy ruch przyjezdnych. Odwrotnością tego systemu jest teatr repertuarowy. Podobno nie opłaca on się nigdy.

Doświadczyła tego i Miss La Gallienne. Przez lat sześć walczyła z wszelkiemi przeciwnościami. Wystawiła zgórą 30 sztuk — m. in. „Romea i Julję". szereg dzieł Ibsena. parę współczesnych rzeczy hiszpańskich, parę utworów Czechowa — ażeby poznać go w oryginale, nauczyła się po rosyjsku. — wznowiła też uroczą fantazję Barriego „Piotruś Pan". Nie można było uskarżać się na brak poparcia ze strony publiczności. W r. 1932 na 1100 miejsc w New York Civic Repertory Theatre przeciętnie 1000 było zajętych. Mimo to trzeba było dokładać, bo Miss La Gallienne i trwała przy swym systemie i nie chciała podwyższać cen biletów. Ostatecznie jednak musiała zdecydować się na kompromis, a gdy popularna przeróbka sceniczna „Alicji w kraju cudów" okazała się magnesem dla publiczności. Miss Ewa wynajęła drugi teatr, gdzie grano tę sztukę w celach dochodowych. Z tem wszystkiem musiała ostatecznie zrezygnować ze swego przedsięwzięcia.

W. T.

Opium, morfina i kokaina

Historja opium, to jedna z niezbyt zaszczytnych kart w dziejach ludzkości. Jest ona paradoksalnym, zdawałoby się dowodem, ile złego narobić może postęp kultury, nauki i cywilizacji.

Bo przecież odkrycie pochodnych opium, jak morfiny, heroiny, apomorfiny — jak również odkrycie „białej trucizny“ kokainy, zawdzięczamy postępom nowoczesnej wiedzy chemicznej.

A rozpowszechnienie się opiumomanji na dalekim Wschodzie, a zwłaszcza w Chinach, idzie równolegle z ekspanzją handlową Anglji, która — w interesie swej Kampanji Indyjskiej — nie wahała się chwytać dwukrotnie za broń zmuszając rząd chiński do otwarcia pięciu portów dla wolnego handlu, a temsamem dla swobodnego importu opium.

* * *

Wartość i znaczenie lecznicze narkotyków znane były już w zamierzchłej starożytności. Wedle Diodora już kapłani egipscy stosowali odwar z konopi indyjskich, jako środek sprowadzający chwilowe oszołomienie i uśmierzający bóle.

Hipokrates zalecał w tym samym celu odwar z białego maku. A i w Homerze znajdujemy wzmianki o cudownej roślinie Nepenthes, jak się zdaje identycznej z haszyszem.

Przez długie wieki jednak środki te uważane były wyłącznie jako medykamenty, aplikowane z wielką ostrożnością i tylko w razie rzeczywistej potrzeby.

Do rozpowszechnienia opium przyczynili się pierwsi Arabowie. Naród ten prawdziwych nomadów, narażonych często na głód i pragnienie w czasie swych wędrówek przez pustynie, potrzebował jakiegoś środka podniecającego, któryby pozwolił im choć na krótki czas zapomnieć o fizycznych dolegliwościach, dodając im sił do zniesienia trudów i prywacyj codziennego życia.

Gdy zaś religja mahometańska zabrania im używania wina i napojów alkoholowych, — zatem szukali jego surogatów w opium. Drobne nacięcie główki specjalnej odmiany białego maku białego wystarcza, by uzyskać nieco gęstego, mlecznego soku, który po paru tygodniach tężeje, zamieniając się w brunatną masę.

Wprowadzili stopniowo używanie opium w całej Azji mniejszej, w Persji, w Indjach, a wreszcie i w Chinach, ciągnąc z tego ogromne zyski.

Dopiero w ośmnastym wieku zainteresowali się tą nową gałęzią przemysłu Anglicy, monopolizując ją niemal na długie lata w swych rękach.

* * *

Palenie opium, praktykowane w Chinach oddawna, przybrało w początkach ośmnastego wieku takie rozmiary, że cesarz Yung - Czing specjalnym edyktem zabronił używania tego narkotyku. Tymczasem wspomniana powyżej angielska Kompanja Indyjska rozpoczęła w Indjach produkcję opium na ogromną skalę, obiecując sobie z tego źródła pokaźne zyski.

Od roku 1773 zasypywać zaczyna Chiny tym produktem. Rząd chiński jest bezsilny; na nic nie zdają się energiczne protesty i gorące apele do ludności. Gubernator Tang wydaje w roku 1838 manifest do narodu:

„Synowie Nieba“, wola ;;czyż nie wstyd wam niszczyć własne majątki i życie, kupując ten towar u barbarzyńców?“

A kiedy i to nie pomogło, pewnego pięknego dnia każe publicznie spalić trzy miljony funtów opium, własność Kompanji Indyjskiej!

Następuje wypowiedzenie wojny przez Anglję, która nie mogła puścić płazem podobnego despektu. Pokonane Chiny, traktatem w Tientsinie, w r. 1858 zezwalają Anglji na import opium który też wkrótce wzrasta ogromnie.

Rząd chiński przeniósł teraz walkę na front wewnętrzny. Nie mogąc zahamować importu, począł rozwijać i popierać produkcję krajową, rozciągając nad nią baczną kontrolę. Handel opium staje się monopolem państwowym, przynoszącym ładne dochody.

* * *

Kiedy jednak używanie opium zaczęło się szerzyć w zastraszający sposób w Ameryce, — sprawą tą zainteresował się rząd Stanów Zjednoczonych. Z jego inicjatywy zebrała się w roku 1909 międzynarodowa komisja w Szanghaju, której rezolucje były przedmiotem obrad pierwszej Międzynarodowej Konferencji w sprawie handlu opium w roku 1912.

Zapadłe na tej konferencji uchwały miały jednak znaczenie raczej platoniczne.

Dopiero Liga Narodów zajęła się tą sprawą poważniej i skuteczniej. Na zwołanych z jej ramienia międzynarodowych Konferencjach w lutym 1925 i w lipcu 1931, podpisano konwencję, ratyfikowaną przez 44 państwa, a ograniczającą produkcję opium i jego pochodnych do granic koniecznych, jedynie dla celów naukowych i leczniczych.

Konwencja ta przewiduje ścisłą kontrolę produkcji, a wyniki jej już dotąd okazały się zbawiennemi.

Tak np. produkcja morfiny z 57 tonn w roku 1929 spadła w roku 1933 do 29 tonn; produkcja heroiny w tym samym okresie czasu z 3.6 tonn do 1.3 tonny, kokainy z 5.6 do 4 tonn.

* * *

Znacznie trudniejszą jednak jest walka z tajną fabrykacją tych trucizn i ich kontrabandą.

I tutaj idzie nietyle o opium, co raczej o kokainę.

„Biała trucizna“ jest chronologicznie najmłodszym wśród narkotyków, — ale jednym z najgroźniejszych.

Po raz pierwszy wyodrębnił ją z liści krzewu „coca“ chemik angielski Percy w roku 1859. Stwierdził on, że żucie liści tej rośliny działa zbawiennie na układ mięśniowy podtrzymując siłę mięśni. Odwar z tych liści stosowano jako środek znieczulający przy cierpieniach gardła i krtani.

Przez długi czas jednak zarówno liście coca jak i kokaina używane były wyłącznie jako środek leczniczy. Dopiero około roku 1910 zjawili się pierwsi kokainiści nałogowi.

Było między nimi sporo ludzi nienormalnych, byli inni, którzy z prostej ciekawości próbowali tej „białej trucizny“, by wreszcie stać się jej ofiarą.

Ale byli też ludzie, którzy zażywali kokainę dla „dopingowania się“, kiedy szło o pokonanie jakiegoś niezwykłego wysiłku fizycznego czy umysłowego.

Najtrudniejszy był początek. Zaczyna się od minimalnych dawek, organizm pomału przyzwyczaja się, upomina się o coraz większe i silniejsze dawki. Przychodzi prawdziwy „głód kokainy“, a z nim powolne zatrucie całego organizmu, kończące się z reguły napadami szału.

Trzecia w tej złowieszczej trójcy, to morfina, alkaloid, wydobywany z opium.

Nazwa sama przypomina Morfeusza bożka snu. I faktycznie przynosi ona sen, zapomnienie, uśmierza wszelkie najuporczywsze bóle.

Ale na czas stosunkowo krótki. Chory, znajdujący się pod jej działaniem przez kilka godzin w stanie euforji, dopomina się wkrótce o nową dawkę. Coraz trudniej mu obyć się bez tej trucizny, która działa nieznacznie, lecz systematycznie na ośrodki nerwowe.

Pierwsze, widoczne objawy zatrucia to: trudności w wysłowieniu się, drżenie rąk i nieskoordynowane ruchy, podobnie jak przy ostrem zatruciu alkoholem.

W stadjum końcowem przychodzą wybuchy szału naprzemian ze zupełną prostracją.

Kuracja kokainistów i morfinistów jest rzeczą bardzo trudną i przeprowadzoną być może — z pewnemi widokami powodzenia — tylko w specjalnych sanatorjach.

* * *

Mimowoli nasuwa się tu jedno pytanie: Że palenie opium jest na dłuższą metę szkodliwe, a nawet zgubne, — wydaje się rzeczą, niepodlegającą dyskusji.

A przecież wiadomo nam o wybitnych nawet ludziach, hołdujących przez długie lata temu nałogowi, bez większej szkody dla swego zdrowia. Jak twierdzą historycy, kardynał Richelieu był wielkim amatorem opium, co nie przeszkodziło mu dożyć 80 lat wieku.

Teofil Gautier najpiękniejsze swoje rzeczy tworzył, delektując się haszyszem.

I co ważniejsza, Chińczycy są od wieków namiętnymi palaczami opium, — a jednak... pewien wysoki urzędnik angielski, członek specjalnej komisji dla walki z opium, w raporcie swym oświadczył bez ogródek, że alkoholizm jest większą klęską społeczną w Anglji, niż opiumanja w Chhinach!

Wyjaśnienie jest proste:

Opium jest trucizną działającą znacznie łagodniej niż morfina. Aplikowane w minimalnych dawkach, w pewnych odstępach czasu, nie pociąga za sobą tak groźnych następstw, działając raczej jako środek pobudzający. Cała rzecz w tem, by umieć zachować właściwą miarę i nie popaść w nałóg.

Rozumieli to doskonale Chińczycy. Zresztą dzięki swej specjalnej konstytucji znacznie z natury odporniejsi na działanie opium od mieszkańców Europy i ludów białej rasy.

U ludzi białych po pierwszych eksperymentach, robionych z niezdrowej ciekawości, przychodzi wkrótce przyzwyczajenie, przeradzające się w niebezpieczny, zgubny, nałóg.

Nerwy Europejczyka, przyzwyczajone do silniejszych podniet, szarpane i przeczulone w gorączkowem tempie współczesnego życia; mniej są odporne na działanie tych wszystkich „białych trucizn“. (Dr. L.)

Kościół a państwo

W obecnej sytuacji światowej wysuwa się na czoło aktualnych zagadnień sprawa ideologji państwowej, stosunku państwa do kościoła, stanowiska katolików wobec nowych form państwa i t. p. Dlatego z radością należy powitać ukazanie się w dniach ostatnich poważnej monografji, traktującej o państwie z punktu widzenia nauki katolickiej. Tytuł jej: „Der Staat in der katolischen Gedankenwelt“. Autor, Dr. H. Rommen, (na 372 stronach) rozwija katolicką naukę o państwie, wychodząc od idei człowieka i prawa naturalnego.

Książka wyszła nakładem zasłużonej firmy nakładowej „Bonifacius-Druckerei“ w Paderbornie. Kosztuje 4.50, w oprawie 6.30 Mk. niem.

Byłoby wskazanem, by i nasi działacze katoliccy zapoznali się rychło z tą monografją. Wer.

Wino na podwieczorek

Swietny wynik zeszłorocznego winobrania we Francji spowodował propagandę narodowego napoju i obecnie zaczynają wchodzić w modę popołudniowe przyjęcia z winem. Five'o clock tea, jak świadczy sama nazwa, był to obyczaj, przyjęty z Anglji i to z cnotliwej Anglji wiktorjańskiej. Po wojnie zastąpiły go gdzieniegdzie coctail partie, spopularyzowane przez Amerykanów. W gruncie rzeczy jednak Francuzi, a szczególnie kobiety francuskie piły silne napoje alkoholiczne z przymusem i niechęcią. Sprawa zeszła na tory narodowe, gdy pojawiło się vin de cinque heure.

Reformę zapoczątkował słynny smakosz paryski Curnonsky, zwany le Prince des gourmets. Doprowadził on zasadę, że wino francuskie najlepiej pić do sera, do perfekcji. Twierdzi mianowicie, że zapach i smak poszczególnych gatunków wina wychodzi najlepiej przy określonych gatunkach serów. Na jego pierwszem przyjęciu tego rodzaju podano gościom 21 rozmaitych win i 21 serów. Gospodarz wyjaśnił swoje stanowisko w uroczystej mowie, prosił też zebranych o wyjawienie zdania, jaka kombinacja smakuje im najlepiej. „Plebiscyt“ ten dał wyniki, zgodne z dotychczasową tradycją, gdyż największą ilość głosów otrzymały kombinacje Chateauneuf - du - Pape z Camambertem oraz czerwone burgundzkie lub czerwone Bordeaux z Roquefortem. N. P.

1400-lecie dokonania kodyfikacji Justynjana

Koło Lwowskie Polskiego Towarzystwa Filologicznego uczciło rocznicę Justynjana uroczystem posiedzeniem naukowem, na którem znakomity znawca prawa rzymskiego, pracujący od lat 50 w wielu dziedzinach nauki, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza dr. Leon hr. Piniński wygłosił odczyt o wartości tej kodyfikacji dla potomności. Z odczytu tego podajemy obszerne streszczenie.

Redakcja

Inicjatywa Polskiego Towarzystwa Filologicznego, dająca możność uczczenia 1400-lecia kodyfikacji prawa rzymskiego, dokonanej przez cesarza Justynjana, dowodzi, że nietylko koła prawnicze oceniają doniosłość owego dziejowego wydarzenia. Podobnie jak literatura i sztuki piękne świata klasycznego Greków i Rzymian, tak też i prawo rzymskie dało podstawę późniejszym narodom Europy do ogólnego kulturalnego podniesienia się i rozkwitu.

Szczególnie w dziedzinie prawa prywatnego stali się Rzymianie, wyjątkowo uzdolnieni w trafnem ujęciu pojęć prawnych, mistrzami i nauczycielami innych narodów. Objawiło się to w recepcji prawa rzymskiego prywatnego w niektórych państwach i w przejęciu do nowszych kodyfikacyj przeważnie tych zasad, które wytworzyła jurysprudencja rzymska.

Z tych powodów powinnaby i na przyszłość nauka prawa rzymskiego być podstawową propedeutyką nauki prawa. Ubolewać tedy nad tem należy, że w ostatnich czasach wprowadzono na naszych uniwersytetach znaczne ograniczenie nauki prawa rzymskiego. Wpłynąć to niestety musi ujemnie i wywołać obniżenie wykształcenia i praktycznego stosowania prawa.

Rządy Justynjana jako cesarza wschodnio-rzymskiego czyli bizantyńskiego państwa przypadają na długi okres czasu od r. 527 do 565. Uzyskanie korony zawdzięczał Justynjan swemu wujowi, poprzednikowi na tronie, Justynowi, który popierał jego karjerę urzędową i, nie mając potomstwa, adoptował go. Następstwu nie przeszkodził nawet mezaljans Justynjana; poślubił on bowiem byłą aktorkę cyrkową Theodorę, kobietę o nader mętnej pod względem obyczajowym przeszłości. Obdarzona wszakże niespospolitą inteligencją, umiała Theodora odegrać z należytą powagą rolę, do której los ją niespodziamie powołał i wywierała zawsze znaczny wpływ na małżonka.

Justynjan jako autokratyczny szef państwa był ambitny, żądny sukcesów i sławy tak w polityce zewnętrznej i bojach, jak niemniej w kulturalnej działalności. Uważał się za następcę wielkich cesarzy najświetniejszego okresu Rzymu i dążył w drodze podboju do odzyskania dawnej światowej potęgi państwa. Długoletnie walki o odzyskanie prowincyj afrykańskich, a następnie panowania nad Italją wraz z Rzymem dały sukcesy chwilowe, połączone zaś były z wielkiemi ofiarami. Bardziej pomyślnem było podjęte zaraz po objęciu rządów przedsięwzięcie ujednostajnienia prawa, które w stosunkowo krótkim czasie zostało doprowadzone do skutku.

Prawo rzymskie, tak jak obowiązywało z początkiem rządów Justynjana, było rezultatem tysiącletniej niemal ewolucji od czasu najdawniejszego prawa ujętego w formę pisaną, mianowicie t. zw. Ustawy XII. tablic. W rozwoju dziejowym norm odnoszących się do prawa prywatnego mniej doniosłą rolę odegrały ustawy uchwalone na zgromadzeniach ludowych, aniżeli t. zw. „ius honorarium", prawo tworzące się na podstawie edyktów władz jurysdykcyjnych, pretorów w Rzymie, a namiestników w prowincjach.

Za czasów cesarstwa uzyskują wprawdzie imperatorowie władzę ustawodawczą, lecz przez przeszło $2^1/_2$ wieku inne źródła prawa, pochodzące jeszcze z czasów republikańskich, nie zamierają. Przyłącza się do nich ponadto Jurysprudencja jako bezpośrednie nowe źródła prawa, niektórzy bowiem wybitni juryści uzyskują od imperatorów t. zw. „ius ex auctoritate principis publice respondendi", a więc upoważnienie do autoryzowanej wykładni prawa. Skutkiem tego nietylko „responsa" tych jurystów dawane w poszczególnych wypadkach, ale i pisma ich uzyskują „legis vicem".

Od 4-go wieku naszej ery jedynem źródłem nowo tworzącego się prawa jest już tylko wola imperatorów w odpowiedniej formie podana do publicznej wiadomości. Obok konstytucyj cesarskich, do których stosowano wówczas nazwę „leges", obowiązują nadal dawniejsze normy prawne, określone w przeciwstawieniu do „leges" nazwą „ius". Wiadomości o tem dawniejszem prawie czerpano wyłącznie z pism prawników.

Wobec tak różnorodnego i z rozmaitych czasów i źródeł pochodzącego materjału prawnego, pojawia się jeszcze przed Justynjanem myśl dokonania zbiorów obowiązujących przepisów. Powstają też istotnie takie zbory „kodeksami" zwane, lecz tylko odnośnie do konstytucyj cesarskich, mianowicie 2 zbiory prywatne (Gregorjański i Hermogenjański) i oficjalny zbiór Teodozjusza II, złożony mniej więcej o stulecie całe przed zbiorem Justynjana.

Co się tyczy znów materjału prawnego, zawartego w pismach prawników, wprowadzili cesarze Teodozjusz II i Walentynjan III w 426 r., dla ułatwienia zastosowania norm tych w praktyce, ułożoną w Ravennie ustawę, którą zowiemy zwykle „Ustawą raweńską (w niemieckiej literaturze prawniczej „Zitiergesetz"). Postanawia ona, że moc obowiązującą mają pisma pięciu wyliczonych imiennie w ustawach prawników (Gaius, Papinianus, Paulus, Ulpianus i Modestinus), oraz pisma innych prawników, na których się ci powołują, w każdym zaś poszczególnym wypadku należy przy rozbieżności opinji liczyć głosy owych jurystów i iść za zdaniem większości, a w razie równości głosów za zdaniem Papiniana.

Justynjan zarządził prace nad kodyfikacją prawa już w roku następnym po objęciu rządów. Głównym kierownikiem całej akcji był Tribonianus, sprawujący parokrotnie najwyższy urząd państwowy „quaestora sacri Palatii". W pracy kodyfikacyjnej utrzymano podział na leges i ius, ułożono naprzód kodeks, obejmujący konstytucje cesarskie (w r. 529), który wszakże następnie w ponownem wydaniu z włączeniem ustaw wydanych przez samego Justynjana został opubliko wany jako t. zw. „Codex repetitae praelectionis" w r. 534.

Księga ustaw, obejmująca ius, została pod nazwą Digestae lub Pandecta zebrana z fragmentów jurystów rzymskich. Wciągnięto do niej excerpta z 3 prawników epoki klasycznej jurysprudencji od czasów ostatniego wieku rzeczypospolitej po czasy Diokletjana. W konstytucjach cesarskich i fragmentach jurystów polecił Justynjan czynić wszelkie zmiany tekstu, któreby komisja uznała za potrzebne dla usunięcia rzeczy przestarzałych i ujednostajnienia przepisów. Są to Interpolacje, czyli t. zw. „emblemata Triboniani". Zmiany te nie są zaznaczone w tekście, przez co dla nauki nowoczesnej wytwarzają się nieraz trudne zagadnienia co do kwestji, co jest tekstem pierwotnym, co zaś zmianą przez kompilatorów dopiero dokonaną.

Komisja wyznaczona dla ułożenia Digestów ukończyła pracę w czasie stosunkowo nader krótkim niespełna 3 lat, skutkiem czego wszechstronne przerobienie pierwotnych tekstów nie zostało ściśle przeprowadzone i wiele matrjału historycznego utrzymało się przecież w fragmentach wciągniętych do Digestów.

Oprócz Kodeksu i Digestów ułożoną została jako trzecia część kodyfikacji księga Instytucyj, przeznaczona w pierwszym rzędzie jako podręcznik do nauki w szkołach, publikowana wszakże zarazem jako obowiązująca ustawa. Instytucje zostały zredagowane przez komitet, złożony z Trybonjana i dwuch profesorów prawa, Theophila i Dorotheusa; za wzór zaś służyły Instytucje Gaiusa, używane w szkołach, tak, iż całe ustępy dosłownie przejęto z Gaiusa do Instytucyj justynjańskich, uzupełniając je tylko nowszem prawem i wzmiankami o ustawach, wprowadzonych przez samego Justynjana.

Po ułożeniu wzmiankowanej z trzech części (Codex Digest i Iinstitutioes składającej się kodyfikacji, wydał jeszcze Justynjan liczny szereg ustaw (około 170) zwanych „Novellae constitutiones", lub „Novellae". Publikowane one były przeważnie w języku greckim; nieznaczna tylko ich część odnosi się do prawa prywatnego, niektóre wszakże zawierają ważne postanowienia, mianowicie o dziedziczeniu ustawowem i przeciwtestamentowem (nov. 118, 127 i 115).

W kodyfikacji Justynjana przeważa charakter kompilacji dawniejszego prawa, łączą się z tem wszakże liczne i nieraz daleko sięgające zmiany, zawarte bądźto w interpretacji dawnych tekstów, bądźto w nowowydanych konstytucjach samego Justynjana. Tendencja tych zmian jest przeważnie chwalebna. Justynjan stara się usunąć rzeczy przestarzałe i pozostałości pierwotnej, przesadnej surowości i formalistyki, która cechowała dawne ius civile, popiera ius aequum w przeciwstawieniu do ius strictum, dąży też do rozstrzygnięcia licznych wątpliwości i kontrowersyj, w niektórych też jego reformach znać wybitnie wpływ etyki chrześcijańskiej. O ile wszakże treść jego postanowień zasługuje na uznanie, o tyle forma jest dziwnie niezręczna i ociężała. W porównaniu z jasną, prostą i zrozumiałą dykcją prawników rzymskich z czasów klasycznej jurysprudencji jest język Justynjana dziwnie zepsuty i niestosowny dla zarządzeń usawodawczych, pełen bombastu, pustej frazeologji i zwrotów samochwalczych.

Dziwnym też wynikiem przecenienia wartości dokonanej kodyfikacji są dwa zarządzenia Justynjana, zawarte w konstytucjach wprowadzonych, robiące już istotnie wrażenie megalomanji i wiary we własną nieomylność. Oto, uważając swe dzieło jako wręcz doskonałe, zabrania Justynjan na przyszłość pisać komentarzy i objaśnień do obowiązującego prawa, a w razie jakichś wątpliwości przy zastosowaniu przepisów w praktyce, każe się odnosić do imperatorskiego majestatu o wykładnię prawa. Oczywiście, że jeżeliby dosłownie zastosowano się do tych postanowień, to zamarłaby na przyszłość wszelka nauka prawa, praktyka zaś władz jurysdykcyjnych straciłaby samoistność, zmuszona do oglądania się jeno na wskazówki „zgóry".

Na zakończenie pytanie: Co sądzić o wartości kodyfikacji całej i o wpływie jej na późniejszy rozwój prawa? Dla celów praktyki i jurysdykcji dawała kodyfikacja materjału wiele, a nawet nadmiernie dużo i to materjału trudnego do opanowania i niejednolitego. Ogromną wszakże jej zaletą jest to, iż zostawiła potomności potężny zasób skarbów jurysprudencji rzymskiej, przez co w dalszym rozwoju wypadków prawo rzymskie oddziałać mogło zbawiennie na rozwój pojęć prawniczych i etycznych w dziedzinie prawa prywatnego innych państw i narodów. Za to należy się Justynjanowi i jego współpracownikom trwała i głęboka wdzięczność.

Jak niegdyś wykradano zwłoki

Głośną była niedawno sprawa wykradzenia kosztownej urny, mieszczącej rzekomo prochy Krzysztofa Kolumba.

Podobne historje zdarzały się w dawnych czasach dość często, zwłaszcza w epoce renesansu. Miasta rodzinne wielkich ludzi uważały to sobie za punkt honoru, by ci wielcy ich synowie w ich murach spoczęli na sen wieczny.

Doprowadzało to nieraz do rozmaitych powikłań i historyj, brzmiących jak urywki z sensacyjnej powieści lub filmu.

Tak miała się sprawa ze zwłokami Michała Anioła, zmarłego w Rzymie, 18 lutego 1564 roku. Papież chciał urządzić wielkiemu mistrzowi wspaniały pogrzeb, rodzina jednak zmarłego postanowiła za wszelką cenę przewieść zwłoki do Florencji i tam je pochować.

W trzy dni po śmierci mistrza przybył tedy do Rzymu jego synowiec, Leonardo. Pokryjomu, nocą wykradł zwłoki, które następnie, starannie opakowane i oznaczone jako „bal płótna" przewiózł do Florencji. Niezwykły ten pakunek przeleżał się na urzędzie celnym, skrupulatnie opieczętowany, przez dłuższy czas — i dopiero 11 marca przeniesiono zwłoki w ścisłej tajemnicy, do kościoła Santa Croce.

* * *

Również i o zwłoki Dantego toczyły się przez długi czas formalne walki. Twórca „Boskiej Komedji" umarł w r. 1321 w Rawennie.

Florencja, która w swoim czasie skazała go na wygnanie, postanowiła obecnie sprowadzić prochy swego wielkiego syna do siebie. Napotkała jednak na stanowczy opór Rawenny, tem skuteczniejszy, że zwłoki Dantego poprostu zniknęły.

Wjadomem było tyle tylko, że pochowany on został gdzieś w obrębie zabudowań klasztoru Franciszkanów.

Kiedy jednak, po długich staraniach i prośbach Florencja uzyskała w r. 1515 od ówczesnego papieża Leona X pozwolenie na przeniesienie zwłok Dantego do tego miasta, pokazało się, że sarkofag był pusty. Zwłoki zostały pokryjomu w nocy wykradzione i pochowane w jakiemś nikomu nieznanem miejscu.

Stanęło wprawdzie w Rawennie wspaniałe mauzoleum Dantego, ale nie było w nim prochów poety.

Dopiero dnia 27 maja 1865, z okazji jubileuszu Dantego odnaleziono je przypadkowo i pochowano uroczyście w tzw. Sepolcreto, znajdującem się obok mauzoleum.

Czy jednak są to naprawdę prochy Dantego, nie udało się ustalić.

(n.)

Cesarzewicz Arakański we Lwowie

Kampanja napoleońska wyrzuciła na bruk Lwowa i innych miast galicyjskich dużo rozbitków z armji małego kaprala.

Byli między nimi i prawdziwi wiarusi napoleońscy, ze słuszną dumą obnoszący swe blizny i odznaczenia. Ale niebrak też było rozmaitych awanturników, umiejących sprytnie wykorzystać tę wyjątkową konjunkturę.

Komunikacja i korespondencja z daleką Francją była bardzo utrudniona, — a łatwowierny ludek lwowski nie kwapił się zbytnio do sprawdzania autentyczności tytułów i odznaczeń takiego jegomościa, który ni stąd ni zowąd spadał na bruk miasta, opromieniony bohaterską legendą.

Jedną z najciekawszych postaci tego pokroju był, „Salomon Justyn Balsamin, cesarzewicz arakański."

Był to młody, smukły młodzieniec, o ujmującej powierzchności, w obcowaniu z ludźmi dość nieśmiały i cichy, — władający słabo tylko językiem francuskim.

Zjawił się we Lwowie latem 1815 roku, poprzedzony już stugębną famą. Po raz pierwszy spotykamy go w okolicy Narola, przybranego w strzępy żołnierskiego munduru armji, Królestwa Kongresowego. Wędruje przez Werchratę do Dobrusina, gdzie jest gościem właścicielki majątku p. Urbańskiej.

Tam przedstawia się jej. Skromnie, lakonicznie: Salomon Justyn Balsamin, cesarzewicz arakański, królewicz peguański, wielki książę indyjski...

Poczciwa i gościnna p. Urbańska nie wiedziała poprostu, jak przyjąć tak dostojnego egzotycznego gościa.

Wyekwipowała go od stóp do głów, dała mu do dyspozycji powóz i służbę — i oczywiście nie omieszkała zawiadomić sąsiadów o przybyciu cesarzewicza.

Zjeżdżali się okoliczni ziemianie, by zobaczyć to dziwo, kłaniali się nisko egzotycznemu władcy i chętnie otwierali mu swoje kiesy. Bo i jakże: cesarzewicz przyjmował łaskawie należne mu hołdy, a wierzycielom swym wydawał dyplomy, opatrzone pieczęcią królewską, nadając im ordery „Białego Słonia", czy „Złośliwych Tygrysów."

A jeśli ten i ów miał może jakieś wątpliwości, — ustąpiły one zupełnie z chwilą, gdy we dworze zjawili się dwaj Arnauci, przybrani w złociste kaftany i zawoje, zbrojni w kindżały i srebrem nabijane pistolety. Miała to być gwardja honorowa, przysłana przez samego sułtana na żądanie młodego cesarzewicza...

Nie dziw zatem, że przybycie egzotycznego cesarzewicza do Lwowa stało się prawdziwą sensacją.

Wiceprezydent gubernjalny, Jerzy Ochsner, witał go jak członka rodu panującego. Przed hotelem, w którym zamieszkał, ustawiono wartę honorową. Cała śmietanka towarzystwa lwowskiego uważała sobie za honor bywać na przyjęciach, urządzanych przez cesarzewicza.

Ten ostatni zasmakował w nowem życiu, przyjmując łaskawie hołdy i... grubsze pożyczki. Lada dzień nadejdą dla niego wozy złota i klejnotów z dalekiego Arakanu, a i sułtan, jego kuzyn i przyjaciel, obiecał mu przyjść z pomocą...

Cesarzewicz przebywał też przez jakiś czas w Lubieniu jako kuracjusz, wyrzucając i tam... nie swoje pieniądze.

Aż nagle, któregoś pięknego dnia, a raczej nocy, wyjechał ze Lwowa. Pocichu dyskretnie, bez asysty, nie żegnany przez nikogo, — ku niemałej zgryzocie licznych łatwowiernych wierzycieli, którzy dali się tak nabrać na jego egzotyczne tytuły.

Jakie były dalsze koleje losu „cesarzewicza arakańskiego" i kim był naprawdę ów pomysłowy, a sprytny oszust, — o tem historja milczy.

Jedni utrzymują, że pojmany przez Moskali zginął na Sybirze, inni, że został oficerem gwardji carskiej, — inni wreszcie, że — uwięziony w Zamościu — odzyskał wolność dopiero w czasie powstania listopadowego i zginął pod Ostrołęką.

Która z tych wersyj jest autentyczną, niepodobna ustalić. I zdaje się, nigdy już nie zostanie wyjaśnioną tajemnica „cesarzewicza Arakańskiego. Salomon Justyn na Balsamina..."

(r.)

Z TECHNIKI RADJOWEJ

Co to są „westektory"

Jedną z najciekawszych nowości, jakie pojawiły się na krajowym rynku radjowym, są prostowniki metalowe, t. zw. westektory (Westector), wyrabiane przez jedną z firm angielskich; prostowniki te są maleńkiemi baterjami ogniw kuprytowych, mających, jak wiadomo, własności „wentyla" — przepuszczania prądu elektrycznego tylko w jedną stronę, bowiem przy odwrotnym kierunku tego prądu opór prostownika jest, praktycznie biorąc, nieskończenie duży.

Dzięki takim własnościom, prostowniki kuprytowe mogą być używane w silnych odbiornikach jako detektory, zamiast lamp, przez to w układzie odbiornika oszczędza się jedną lampę, kosztem wzmocnienia, którego prostownik kuprytowy nie daje, ale które w silnych odbiornikach nie bywa brane pod uwagę. Nie jest to wyłączne zastosowanie prostowników kuprytowych i tak używa się westektora np. do automatycznej regulacji siły odbioru, tj. do usuwania wahań siły odbioru, spowodowany przez t. zw. fading, to znaczy zanik (osłabienie) siły odbioru danej stacji radjowej.

W odbiornikach nawet starej konstrukcji, ale przynajmniej 5-cio lampowych da się zastosować z powodzeniem westektor prostujący niezdetektorowane prądy wielkiej częstotliwości, jakie zawsze jeszcze obiegają obwód anodowy — i kierujący wyprostowane napięcie na siatki poprzedzających lamp, dając im w ten sposób wyższe napięcie ujemne. Im większy był prąd, który został przez prostownik kuprytowy wyprostowany, czyli im silniejszy był w danej chwili odbiór, tem bardziej go stłumi podwyższenie napięcia ujemnego lamp regulowanych automatycznie.

I naodwrót, gdy sygnał stacji nadawczej, dochodzący do lampy detektorowej jest słabszy, to i prąd, który przepłynie przez prostownik kuprytowy będzie słabszy, a więc lampy regulowane otrzymają niższe napięcie ujemne siatek, czyli będą silniej wzmacniać otrzymane prądy.

W ten sposób siła odbioru nie powinna ulegać zmianom, jedynie przy bardzo głębokim zaniku (fadingu) dadzą się odczuć słuchaczom lekkie zniekształcenia i przycichania siły odbioru. Pozatem — posiadanie odbiorników bateryjnych może przy pomocy westektora dać nam znaczne oszczędności w zużyciu prądu z baterji anodowej suchej.

Lampa głośnikowa, pracująca zwykle w ten sposób, że pobiera prąd anodowy, dochodzący do 15 mA (mili Amperów) może pracować mając przyłożone wysokie stosunkowo ujemne napięcie do siatki, wtedy jak wiemy, prąd pobierany przez lampę znacznie się zmniejsza. Pracująca w zwykłym układzie lampa głośnikowa, będzie w tych warunkach zniekształcać audycję, odtwarzając tylko połowę otrzymanych wahań. Gdy zamiast drugiej lampy, która wzmacniałaby tę drugą, nie przepuszczaną przez pierwszą lampę połowę drgań, użyjemy westektora, który będzie w odpowiedniej chwili obniżał automatycznie napięcie siatki, otrzymamy bardzo wydajny i czysto działający wzmacniacz, pobierający prąd z baterji tylko wtedy, gdy jest audycja, a zużywający prąd tem większy, im głośniejsza będzie owa wzmacniana audycja.

S. K. W.

Ciekawostki ze świata

Moloch ruchu automobilowego

Czarnym tygodniem nazwano w Londynie okres 16—22 grudnia roku zeszłego spowodu wielkiej ilości przejechań i wogóle nieszczęśliwych wypadków w ruchu ulicznym. Na całym obszarze, podlegającym policji stołecznej, było w tych dniach 43 zabitych i 1221 rannych — jak w średniej bitwie za dawnych czasów. Fatalne te cyfry przypisują ruchowi przedświątecznemu t. j. transportom towarów, a także ferjom szkolnym. Interesująca jest statystyka ofiar. Z pomiędzy zabitych było 30 przechodniów pieszych, 6 cyklistów, 3 motocyklistów, 4 innych (automobilistów, jadących konno lub powozem). Z pieszych 8-oro dzieci niżej lat 10, 9 osób między 10 a 55-ym rokiem życia, 13 powyżej lat 55, z tego 7 wyżej 75.

Tydzień ten był najgorszy w roku. Po nim idzie okres 7-dniowy z początkiem lipca. Zginęło wówczas 37 osób w Londynie, a 180 na prowincji. Uszkodzenia odniosło nie mniej niż 5777.

A. E.

Skąd wzięły się znaki matematyczne?

Kropkę nad cyfrą, oznaczającą t. z. perjodyczność ułamka, spotykamy już u Euklidesa. Znaki + i — pochodzą z końca XV w. i prawdopodobnie umieszczano je pierwotnie w Niemczech na workach z towarami dla oznaczania, że waga jest zbyt wielka lub zbyt mała. Znak równania (=) wprowadził w r. 1557 Robert Recorde, × jako znak mnożenia Oughtred. Znak nieskończoności (tj. poziomą ósemkę) spotykamy po raz pierwszy w r. 1665 u Wallisa, znak pierwiastka (V) u Stifla. Ale nie wiemy, kto był największym dobroczyńcą matematyków i niematematyków, mianowicie kto pierwszy wprowadził znaki dla poszczególnych cyfr.

Bilet wizytowy we Francji

Francja jest ojczyzną nowoczesnych form towarzyskich, a we Francji decydującą pod tym względem była epoka Ludwika XIV. I bilet wizytowy powstał w czasie, gdy na tronie siedział Król Słońce. Różnił się jednak znacznie od dzisiejszego, mianowicie zdobiły go emblematy, odpowiadające stanowi i zajęciu człowieka. Jenerał kazał sobie na bilecie malować hełmy, chorągiewki lub armaty. sędzia wagi, magnat umieszczał obraz swego zamku, a czasem portret własny.

Niezbędną rzeczą były bilety wizytowe w Nowy Rok, składało się je przyjaciołom i znajomym. Poczta służyła korespondencji z odległemi miejscowościami, więc bilety posyłano przez służących, a że nie znano i skrzynek do listów, więc ci wsuwali je, zwinięte w trąbkę, przez dziurki od klucza.

Emblematy znikły dzisiaj (chociaż rytownicy próbują we własnym interesie je wskrzesić). Nie widać i herbów, które później zajęły ich miejsce. Natomiast weszło w zwyczaj wypisywanie pod nazwiskiem wszelkie urzędy i godności, jakiemi ktoś może się pochwalić. Dochodzono pod tym względem do śmieszności, wypisując np. nazwy mało znanych towarzystw, o ile ktoś był ich członkiem. Śp. Barthou miał dużą kolekcję takich komicznych biletów.

Po wojnie zwyczaj składania biletów wizytowych na Nowy Rok przeważnie wyszedł z mody. Są one jednak potrzebne przy wielu innych sposobnościach. Francuzi nazywają je „bristols" — taką nazwę nosi u nich karton, na którym je się drukuje lub litografuje.

N. P.

Czy człowiek może skamienieć?

Słyszeliśmy w podaniach greckich i naszych własnych ludowych, że człowiek zamienia się w kamień — czy to pod wzrokiem Meduzy czy pod wzrokiem bazyliszka, czy gdy spojrzy na siebie wbrew zakazowi, czy wreszcie wskutek jakichś praktyk czarodziejskich. Ale jest choroba, zresztą niesłychanie rzadka, która rzeczywiście powoduje skamienienie ludzkiego ciała.

Przed sądem w San Francisco stanął niejaki Albert Hagedorn n. Hayward w pobliżu tego miasta, oskarżony o niedozwolone pędzenie i sprzedaż wódki. Znaleziono w jego domu znaczniejszą ilość alkoholu.

Z-eszta Hagedorn przyznał się do winy i prosił tylko o zawieszenie kary. Ma na medycynie syna, który dostał dziwnej choroby. Pragnąłby go wyleczyć. Doktorzy nie znaleźli dotychczas środka, ale stary człowiek żywi nadzieję, że chory sam sobie poradzi, gdy skończy studja. Niestety zarobek stróża nocnego, którym jest Hagedorn, nie wystarczał na to — i wówczas zrozpaczony ojciec wziął się do potajemnej fabrykacji alkoholu.

Albert Hagedorn młodszy stanął przed sądem jako klasyczny świadek. Wyraził żal, że ojciec z jego powodu wszedł w konflikt z prawem. O pędzeniu wódki nie wiedział. Od sześciu i pół roku cierpi na swą chorobę i trzymał ją w tajemnicy przed ludźmi — z wyjątkiem najbliższej rodziny i lekarzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego i ze szpitali w San Francisco. Udzielił następnie medycznych wyjaśnień:

„Obracam się zwolna w calcium carbonatum, z którego są skały i kamienie. Prawie każdy pokarm zawiera wapno, więc niema możliwości poradzić tu coś dietą. Choroba zaatakowała naprzód moje ręce, potem nogi, ale mam jeszcze władzę w rękach i nogach".

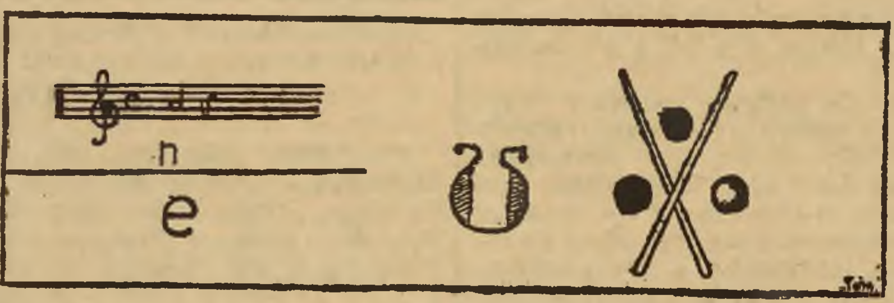
Doktorzy, którzy leczyli biednego studenta, potwierdzili te zeznania, dodając, że medycyna zna dotychczas 28 wypadków niezwykłej choroby. U Alberta Hagedorna młodszego uległy dotychczas skamienieniu stawy w nogach, pięty, łokcie i część wielkiego palca u jednej ręki.

Sędzia federalny Kerrigan skazał Alberta Hagedorna za oszustwo skarbowe. ale zawiesił karę, a cały szereg osób z pomiędzy publiczności zapropnował synowi pomoc finansową.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebus

(ułożył „Tom", Rzeszów)



Rozwiązanie 4-ro wyrazowe

Cykl szaradowy: „Kobieta"

Napisał „John Ly"

(7. Szarada)

Kobieta zdolna wszystko znieść od biedy,
prócz nudów i samotnych sjest...
Te sobie wielce trzy - wspak raz i wtedy,
Kiedy się nudzi, wściekła jest.
Kobieta lubi bardzo... być kuszoną —
(o tem już w raju wiedział wąż).
Pięć-szóstej-czwartej zawsze jest spragnioną —
(o tem powinien wiedzieć mąż...)
Kobieta żądna jest hołdów czwór chwały...
Książęcej piątej-drugiej zwid
pięć-trzy przed wzrokiem jej blaskiem wspaniałym.
To marzeń jej i pragnień szczyt...
Kobieta pragnie panów uległości —
wspak raz — piątymi władać tak,
by przyjaciółki pękały z zazdrości,
jeśli ambicji im nie brak.
Tyle znam tylko z kobiecej natury,
A gdy coś całość doda wam,
to to już będzie wasz domysł, za który
i odpowiadać nie chcę sam...

Szarada

(napisała „Junona", Warszawa)

Panu „John Ly" poświęcam.

Z Pana to jest doprawdy cały, panie Johnie!
Wciąż nowe siódme-czwarte są w Jego szaradach;
Słowami Pan pięć-osiem, a ja czytam rada,
bo w nich młodzieńczy zapał jasnym ogniem płonie!
I nie jest to, rzec można, ogień z trzeciej-drugiej,
bo trwa ciągle i ciepłem trzy-siedem nam dolę,
a dola ta pięć-szósta, więc już milczeć wolę,
nie prawiąc o jej smutkach nieprzyjemnie długich!
Doprawdy nie rozumiem tych bezradnych ludzi,
którym z rąk załamywań trzeszczą ósme-czwarte
i którzy wolą rozpacz niż słoneczne żarty,
mogące w nich sił nowych zasoby rozbudzić!
Drudzy to, szaradowi kochankowie losu,
umiemy żyć jak w bajce i złudą się karmić;
my, żołnierze dziwacznej, tajemniczej armji,
widzący w każdym cierniu cudny kwiat lotosu!
My jedynie umiemy żyć złudzeniem wiosny,
choć nas przejmuje dreszczem raz-szósta zimowa,
nam serce bije żywo i nam płonie głowa,
a świat o cuda szaleństw naszych jest zazdrosny!
Wczoraj mi Pan szaradą swą wieczór osłodził,
dziś, ja chcę Panu ranek rozjaśnić uśmiechem!
Jedni drugim na radość, zachętę, pociechę...
i tak słowo raz słowię treść Dobra się rodzi!

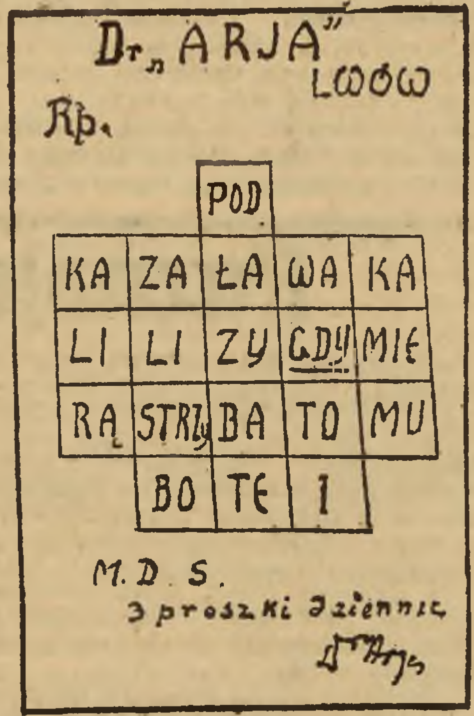
Szarada

(napisała Helena Mokrzycka, Drohobycz)

O pierwsza-drugo w biały płaszcz wtulona,
Z łabędzich puchów misternie utkany,
Z pereł, brylantów królewska korona;
Boś ty królowa: a twoi poddani
Zgrabni łyżwiarze, oraz saneczkarze,
Dzielni rycerze, zuchwali narciarze,
Wszyscy szczęśliwi, radzi, roześmiani.
Nie straszne dla nich czwór-piąte-szóste,
Z mrozem, wichurą biorą się za bary,
Na lodzie tańczą poloneza pary,
Dźwięki muzyki lecą w dale puste.
Znów tam czwór lasem, po ubitym śniegu
Migają sanki przez śniegowe szlaki;
A obok lecą narciarze jak ptaki
Chcąc się wyprzedzić w rekordowym biegu.
Gdy ziemię skryją twe ramiona białe,
Na raz-dwa-trzecie rozgrywki, zawody
Śpieszą, zdążają na sportowe gody!
Nie baczą nawet na grożące Całe...

Konikówka-zagadkowa

(Ułożyła „Arja")



Rozwiązaniem konikówki będzie zagadka, którą należy rozwiązać.

Łamigłówka odzieżowa

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

Be, bur, bun, ca, cha, cza, da, dni, dnie, fu, ga, ja, ka, ka, ka, kie, king, le, li, lo, łat, ma, man, mię, na, ny, pan, pan, pe, po, ra, ra, re, rja, ry, ry, sier, spo, sza, ta, ta, tro, tyl, wa, żu.

Z powyższych zgłosek proszę utworzyć siedemnaście wyrazów, określających rozmaite rodzaje ubiorów.

Wyrazy te należy następnie odpowiednio uszeregować w ten sposób, by trzecie litery w każdym wyrazie, czytane kolejno, dały w rozwiązaniu imię i nazwisko znane w całym świecie.

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa** 6 marca br. Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

Rozwiązania z nr. 40

Konikówka: Kiedy jechać, to już sanną,
Kiedy szaleć, to za panną.

Szarada miłosna: Na pożegnanie.

Szarada 5.: Czy kobieta, to zagadka?

Łamigłówka: Przeskakując co ósmą literę otrzymamy dwuwiersz:
Adam na Ewę, na Adama Ewa, —
a oboje jedli z drzewa.

Szarada: Podziękowanie.

Łamigłówka: Polska marynarka wojenna.

Rozwiązania nadesłali.

ze Lwowa pp. M. Łesiuk, Eug. Dworski, Ir-ka, Roman H., Arja, Sigma, M. Szydłowska, Wład. G., M. Zygmuntowicz, A. S., R. Wit., Ad. Rogozińska, Hel. Kowalska, „Biały Ceś", J. Kwiczoł, Fr. Goldowa, Wanda Wolańska, Br. Ostrowski, Hel. Adamowa, Józef Koberwein, Eug. Boczarska, Stan. Krzywobłocka, Z. Kiernicka, Mich. Haichowa, M. Ruxerówna, Ir-H., „Tato Krzysia", Wanda Smolicka.

z Warszawy pp. J. Alis B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill. J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kozłowski. N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. I. Wilkowa (Rzeszów), „Tom" (Rzeszów), Irena Senze (Żychlin), H. Mokrzycka (Drohobycz), Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn), Tad. Żeglicki (Dębica), M. Raczkowska (Niżankowice), Franc. Prus (Danilcze), Marja Potocka (Sanoczek), Tad. Dworski (Sanok), Fr. Szczepan (Wola łużańska), M. Lityńska (Przemyśl), Kazim. Habrat (Dynów), Cz. Murczyński (Kraków), „Rex" (Jasło), ks. Józef Welc (Kraków), J. M. (Chyrów).

—x—

Nagrodę uzyskał p. **Franciszek Szczepan, Wola Łużańska.** Nagroda „Junony" przypadła w udziale p. **Tadeuszowi Żeglickiemu w Dębicy.**

Książki wysyłamy.

Odpowiedzi Redakcji.

Arja. „Klucz" w ostatniej eliminatce jest wyrazem sześcioliterowym. Ale nie „żłóbek"!.

J. M. Wysyłamy dodatkowo. Winna konfiskata.

Ks. J. W. Rozwiązania w zeszłym tygodniu nie otrzymaliśmy.

Ze świata książki

Jak rozpoznawać uzdolnienia uczniów

Pojawiła się niedawno na półkach księgarskich praca prof. Claparède'a, przyswojona literaturze naszej przez p. J. Jastrzębską, a wydana staraniem Książnicy - Atlas z przedmową prof. Stefana Baleya.

Ściśle mówiąc, jest to podręcznik dla praktycznego użytku psychologów, ale ponieważ każdy wychowawca powinien być psychologiem, przeto każdy szanujący się nauczyciel, pragnący wywiązać się należycie ze swego zadania, powinien zapoznać się z tą książką.

Szkoła ma nietylko uczyć, ale i wychowywać uczniów, ma wyrabiać w nich charakter, a do tego potrzebna jest przedewszystkiem znajomość uczniów i poznania indywidualnych cech każdego z nich. Zadaniem szkoły jest przecież rozwój twórczości ucznia, aby stał się on praktyczną i pożyteczną jednostką w kraju, wydajność zaś każdej jednostki zależy od tego, w jakim stopniu zwracamy się do jej wrodzonych zdolności, od tego bowiem zawisła jej przyszła działalność. Dlatego to szkoła pomagać winna każdemu uczniowi rozwijać się specjalnie w kierunku jego wrodzonych uzdolnień, do czego poznać trzeba koniecznie przymioty poszczególnych uczniów.

Praca prof. Claparède'a ułatwia nam to poznanie i dlatego właśnie jest ona cennym nabytkiem dla naszej literatury pedagogicznej, zwłaszcza, że autor — znakomity pedagog i psycholog — zadanie swoje traktuje z wielką sumiennością i wywiązuje się z niego znakomicie.

Prof. Claparède w pracy tej postawił sobie dwojakie zadanie: 1) „wskazać dla praktycznego użytku wychowawców, lekarzy i doradców orjentacyjnych niektóre ze sposobów rozpoznawania uzdolnień";

2) „przedstawić metodę, któraby ułatwiła dalsze poszukiwania i zapomocą której możnaby prowadzić te badania według wspólnego planu". (Str. 7).

Z zadania tego czcigodny autor wywiązał się najzupełniej, praca zaś jego w tłumaczeniu Dr. Jastrzębskiej zyskała jeszcze, gdyż w cennych, a licznych bardzo przypiskach wydawcy uzupełnioną została w niejednem przez prof. St. Baleya.

Przy ocenie uzdolnień prof. Claparède rozróżnia dwojakie testy — zawodowe i psychologiczne, to jest testy zmierzające do wykrycia uzdolnienia dziecka, lub też do odkrycia jego cech psychicznych. Oczywiście te ostatnie interesują raczej psychologa, niż nauczyciela - filologa, lub matematyka, autor jednak oprócz testów psychologicznych, omawia także różnego rodzaju testy pedagogiczne, zwane także **testami wiadomości**, które przeznaczone są przedewszystkiem dla pedagogów i profesorów. Ale i testy psychologiczne zainteresują tu niewątpliwie nauczyciela i posłużą mu do lepszego poznania psychiki młodzieży, autor bowiem, zanim przystąpi do omawiania danego testu, analizuje naprzód tę stronę psychiki, do której zbadania test jest przeznaczony.

Przechodząc w ten sposób kolejno od jednego testu do drugiego, autor **daje nam rzut oka na całość podstawowych** uzdolnień i dyspozycyj psychicznych, jakie spotykamy u młodzieży. Na szczególną uwagę zasługuje tu rozdział, pt. „Sąd moralny" w którym autor traktuje o cechach moralnych ucznia i omawia testy, przy pomocy których możemy cechy te poznawać, przyczem znów podnieść musimy uzupełnienia, jakie daje nam tu prof. St. Baley. Rozdział ten obliczony jest wprawdzie na dalszą rozbudowę, do czego przyczynić się może tegoż prof. Baleya „Charakterologja i typologja dzieci i młodzieży, pomieszczona w I tomie Encyklopedji wychowawczej pod redakcją prof. St. Łempickiego. Pani Dr. Jastrzębska, przyswajając literaturze naszej dzieło Claparède'a, wywiązała się ze swego zadania znakomicie, pokonawszy niejedną trudność stylistyczną przy terminologji. Wydanie książki pod względem przejrzystości układu i poprawności języka wzorowe, jak wszystkie zresztą dzieła biblioteki pedagogicznej Książnicy, pod redakcją Dra Zygmunta Ziembińskiego.

KS. DR. JAN CIEMNIOWSKI

H. BOGUSZEWSKA I J. KORNACKI: „JADĄ WOZY Z CEGŁĄ..."

(Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa, 1935. Str. 256. Zł 7.50).

Do zespołu Utworów Zespołu Literackiego „Przedmieście" włączona została ostatnio wielka powieść społeczna Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego pod tytułem „Jadą wozy z cegłą..." W przeciwieństwie do modnego dziś rodzaju powieści reportażowych, książka ta, poświęcona pamięci Emila Zoli, obfituje w bogatą treść psychologiczną i ukazuje wewnętrzne dzieje, wewnętrzne życie polskiego przedmieścia.

Podstawowem zagadnieniem powieści są zmiany, dokonywujące się w psychice ludzkiej pod wpływem zmian ekonomicznych zewnętrznych. Każda postać książki nieustannie zmienia się i przekształca poprzez nieustępliwe zmaganie się ze swem życiem.

Boguszewska i Kornacki nie odmalowują jednak samej tylko walki o byt. Cała uroda życia na przedmieściu zawarta jest w przepięknych opisach przyrody, obrazach pracy i wypoczynku. Przed oczami czytelnika roztarjatu i polskiego drobnomieszczaństwa. Walka klasowa i walka o byt nieustannie łączy się i splata z radościami i smutkami życia domowego, — tak więc obok wstrząsających aktów ofiarności bohaterstwa podziwiamy znakomicie odmalowane sceny obyczajowe. Każda z postaci powieści ma swoją własną linję rozwojową, linję przemian zewnętrznych i odpowiadającą jej drogę wewnętrznych przekształceń. Tu niewątpliwie leży tajemnica żelaznej konstrukcji powieści, gdzie wszystko rozwija się logicznie, konsekwentnie, w znakomicie skomponowanych skrótach, w wyraziście patrzących obrazach.

Akcja ujęta jest w klamry, — ktoś kupił posesję Nr. 697 A. na rogu ulicy Podmiejskiej i Opłotków i mieszkał na tej posesji przez cztery lata. Powieść kończy się sprzedaniem domu, ale akcja powieściowa się nie kończy. Odkładamy książkę z przemożną pewnością, że gdzieś, na którémś z przedmieść polskich dalej strajkuje cegielnia przed posępnem spojrzeniem Kirjackiej, i że w dalszym ciągu stary Kwapisz przywozi na swoim wózku ludzkie graty, aby je potem znowu do śródmieścia odwieźć...

„Zimny drań z Ludwiką"

Jeszcze w sprawie „koncertu życzeń"

Przed paru dniami pojawił się w „Kurjerze" artykuł w sprawie tak popularnego już dziś „Koncertu życzeń" nadawanego przez lwowską rozgłośnię P. R.

Autor artykułu, z zawodu muzyk, kompozytor i znawca muzyki, oburza się na te wszystkie tanga nadawane z płyt na specjalne życzenie, pod czyimś określonym adresem.

Czy jednak ma zupełną rację? Nie sądzę. Zapewne, lepiejby było, gdyby zamiast „Ludwiku" czy „Całuję twoją dłoń" nadawano np. Karłowicza „Chylisz główkę", pieśni Żeleńskiego, Galla, Niewiadomskiego, czy nawet utwory Szopena, Griega, Schumana, Czajkowskiego...

Ale — nasuwa się tu szereg zastrzeżeń. Przedewszystkiem względy, powiedziałbym, czysto sentymentalne. Cóż my, obojętni w danej chwili słuchacze, możemy wiedzieć o tem jaka nieraz słodka, zazdrośnie strzeżona tajemnica kryje się poza dźwiękami ognistego tanga? Ile szeptów, przyrzeczeń, rojeń płynęł w takt tej muzyki, na sali tanecznej?

Tajemnica to, znana tylko „im dwojgu", a tak nierozłącznie związana właśnie z tym jednym tańcem, w takt upajającej melodji! Wspomnienia, prze żywane ponownie po tygodniach, m esiącach, latach może?...

Tekst piosenki głupi, bezmyślny? Zgoda! Ale czyż tu idzie właśnie o tekst, a nie o znaną ulubioną melodję, co dźwięczy jeszcze w uszach? Czyż na sali balowej zwracałby ktokolwiek uwagę na tekst, — ten niepotrzebny zupełnie dodatek?

Ten jeden jedyny argument rozgrzesza w zupełności amatorów i amatorki podobnych melodyj. Bo — uderzmy się w piersi: czyż każdy z nas nie ma taksamo jakichś najmilszych, najsłodszych wspomnień związanych nieraz z najbanalniejszą melodją? I to przeważnie z melodją taneczną, z natury rzeczy nie kompetującą do miana artyzmu?

Więc nie bronmy zainteresowanym tej miłej, niewinnej rozrywki.

I nie oburzajmy się, zupełnie zbytecznie i bez racji.

* * *

Ale nie myślę generalizować. Nie każdy wygrzebie nie każda kerule się powyższemi pobudkami przy wyborze płyty gramofonowej.

Są i tacy, którzy pragną poprostu posłuchać ulubionej piosenki, dla samej przyjemności słuchania. Choćby to miał być „Zimny drań" z jego naprawdę głupim, bezsensownym tekstem... Ha trudno: de gustibus non est disputandum". Ucieknę się tu do analogji:

Są ludzie, którzy nie opuszczą żadnego przedstawienia w cyrku którzy regularnie asystują zapasom atletów czy bokserów, — a którzy nigdy w życiu nie byli i nie będą prawdopodobnie na żadnym, choćby najciekawszym odczycie.

Są ludzie, którzy rozkoszują się „Rozkoszną dziewczyną", a boją się... koncertów symfonicznych, jak djabeł święconej wody.

Są ludzie, przenoszący harmonię ślepej Mańci spod pomnika Sobieskiego nad dźwięki fortepianu czy skrzypiec.

Tak już jest — i tak zawsze będzie. Jakże tedy traktować takich ludzi prześlicznemi pieśniami Karłowicza lub Galla, skoro to dla nich zupełna „terra incognita"? Jak wymagać, by zamawiał tego rodzaju płytę, skoro nie wie wogóle o jej istnieniu?

I dlatego, sądzę, wszelki apel na ten temat trafia poprostu w próżnię.

* * *

Zgadzam się zupełnie z autorem omawianego artykułu, że wszystkie te tanga, foxtrotty i twosteppy bardzo niewiele przyczynić się mogą do podniesienia naszej kultury muzycznej. Ale też nie to wcale było i jest celem tych „Koncertów życzeń".

Krzewienie kultury muzycznej, to praca żmudna i długa, — w której i radjo ma napewno swoją niemałą cząstkę. Na to trzeba publiczność wychować, zapomocą koncertów popularnych, poranków muzycznych itp. Odbywać się to jednak musi planowo, systematycznie, a radjosłuchacz musi pozostać wyłącznie tylko „słuchaczem", bez jakiejkolwiek ingerencji na układanie programów.

Trzeba tych słuchaczy, dla których dotąd najpiękniejszą, a może i jedyną dobrze znaną melodją, był taki właśnie „Zimny drań", — zaznajomić z najpiękniejszemi pieśniami polskich kompozytorów. Muszą to być jednak rzeczy melodyjne, łatwe do zapamiętania. Posłyszą taką piosenkę raz i drugi, zwrócą na nią uwagę, zainteresują się nią. Może słuchać jej będą w miłem towarzystwie, — może z chwilą tą łączyć się będzie niejedno wspomnienie, równie miłe jak z sali dancingowej?

Czy nie możnaby pozwolić sobie tutaj na maleńką, niewinną... mistyfikację? Ot, poprostu, po wyczerpaniu pewnej ilości płyt, nakręcanych „na życzenie radjosłuchaczy" — nadać za każdym razem duże, trzy płyty na życzenie... melomanów, a pod adresem... wszystkich uroczych radjosłuchaczek? Na pierwszy ogień zgłaszam pod Ich adresem cykl pieśni Karłowicza. Nie pogniewają się o to napewno, — ani na mnie, ani na Polskie Radjo. A może która z radjosłuchaczek, skoro pozna i oceni całe piękno tych pieśni, raczy mi je kiedy przypomnieć znów w „Koncercie życzeń"?... Byłoby mi to najmilszą nagrodą i odpowiedzią!

LUCY

Ps. Jeszcze jedna życzliwa rada: Jeżeli ktoś z „życzących" nie ma wyrobionego smaku muzycznego i nie wie, jaką płytę wybrać, — niechaj pozostawi wybór rozgłośni lwowskiej. Dział „Koncertu życzeń", to referat p. Teodozji Lisiewicz i Kazimierza Wardy. Wkładają w ten dział dużo rzetelnej, bezinteresownej pracy. Wiedzą, co wybrać, co najodpowiedniejsze w danej okazji. I napewno — nikt z zainteresowanych na ich wybór narzekać nie będzie!

Poznajemy się przez radjo

Ubiegły rok pod względem wymiany programów radjowych między Polską a zagranicą należał do bardzo udanych. Nietylko wzięliśmy ilość audycyj wysokowartościowych pod względem artystycznym z radjofonji obcych, ale — co ważniejsze ze stanowiska propagandowego — daliśmy obcym słuchaczom szereg reprezentacyjnych audycyj własnych. Była to w prawdziwem tego słowa znaczeniu wymiana, gdyż Polskie Radjo wzięło z zagranicy zaledwie 4 audycje więcej niż zagranica od nas.

Na pierwszy plan wysuwają się tutaj warszawskie koncerty chopinowskie, które dzięki radjo stały się znakomitą propagandą polskiej muzyki zagranicą. Największą ilość koncertów Chopina transmitowały z Warszawy radjostacje niemieckie, potem idzie Francja, Anglja, Włochy i Stany Zjednoczone A. P.

Poza koncertami chopinowskiemi nasze koncerty symfoniczne transmitowane były do Stockholmu, do Belgradu, nasza muzyka ludowa, która wywołuje tyle zainteresowania poza granicami Polski, wielokrotnie była transmitowana do Berlina, Wrocławia, Hilversum, Stockholmu, Ameryka Północna interesowała się transmisjami nabożeństwa z Częstochowy, przylotem braci Adamowiczów, uroczystościami ku czci Pułaskiego, audycjami dla Polaków U. S. A. Zaznaczyć należy, że audycje transmitowane do Ameryki rozpowszechniane są w Stanach Zjedn. przez prawie 190 mniejszych lub większych rozgłośni.

W dniach wielkiej powodzi w Polsce Polskie Radjo nadało dla rozgłośni angielskich specjalny reportaż, który wywołał wśród słuchaczy angielskich nietylko zainteresowanie, ale objawy współczucia. Z innych wydarzeń, które za pośrednictwem Polskiego Radja przedostały się do programów radjostacyj zagranicznych wymienić należy konkursy hippiczne w Warszawie, mecz piłkarski Polska — Niemcy, Challenge i mecz bokserski Polska — Niemcy.

Gdy we Francji obchodzono rocznicę Lafayetta, Polskie Radjo zorganizowało specjalną audycję, która nadana była na rozgłośnie francuskie.

Te audycje zacieśniły węzły przyjaźni między Polską, a innemi krajami w sposób może bardziej bezpośredni, niż jakakolwiek forma propagandy. Przez poznanie niedaleka droga już do zrozumienia, a co ważniejsze, do życzliwości.

Od audycyj, które Polskie Radjo nadawało do rozgłośni zagranicznych, bardziej utkwiły w pamięci słuchaczy te, które Polskie Radjo transmitowało od obcych. Na pierwszy plan wysuwają się tu transmisje oper włoskich, ze słynnego teatru La Scala w Medjolanie oraz z innych scen operowych we Włoszech, jak z Rzymu i Turynu. W ubiegłym roku Polskie Radjo dało swym słuchaczom 13 oper w wykonaniu włoskich artystów, oraz 2 koncerty. W okresie letnim usłyszeliśmy transmisje z festivalów muzycznych w Salzburgu i Beyreuth, koncertów z Pragi Czechosłowackiej, z Brukseli, z Berlina, z Belgradu, z Budapesztu i z Paryża, muzyki ludowej ze Szwajcarji i Niemiec, muzyki jazzowej z Anglji, oraz braliśmy udział w tak doniosłych wydarzeniach, jak pogrzeb jugosłowiańskiego króla Aleksandra I i Poincarego. Ciekawostką swego rodzaju, która wywołała zresztą miły oddźwięk wśród słuchaczy, była transmisja uroczystości ślubnych ks. Kentu w Londynie, a fragment opuszczenia na morze statku „Piłsudski", dał sposobność słuchaczom przeżyć wzniosłą chwilę narastania naszej potęgi na morzu.

Wymiana programów z rozgłośniami europejskiemi rozwija się w dalszym ciągu. Słuchacze domagają się jej i cenią, zwłaszcza ci, którzy posiadają odbiorniki radjowe nie mogące chwytać obcych stacyj. Dla tych — a jest ich w Polsce dużo — każda taka transmisja, to bezpłatna wycieczka w świat szeroki po najcenniejsze wrażenia: po wrażenia artystyczne.

„Tydzień sumienia publicznego"

Z inicjatywy „Ruchu etokratycznego" w Pradze organizuje się w Czechosłowacji niezwykła impreza, nazwana „Tygodniem sumienia publicznego".

Impreza ta stoi pod hasłem jaknajdalej idącego poszanowania swobody i praw jednostki, a to zarówno na polu politycznem, jak kulturalnem i ekonomicznem.

W państwie szczerze demokratycznem rządzić powinna bezwzględna obyczajność, do czego w pierwszej linji przyczynić się winien rząd, przestrzegając zasad absolutnej sprawiedliwości i objektywności w stosunku do wszystkich obywateli, a unikając jakiegokolwiek uzależniania od siebie czyto jednostek, czy całych grup ludzi.

Wówczas dopiero będzie można naprawdę mówić o „obudzeniu sumienia publicznego".

Impreza ta, przewidziana na marzec, obejmować będzie szereg odczytów, pogadanek, wykładów, audycyj radjowych i publicznych zebrań.

Pomysł, naprawdę godny naśladowania. Bo sprawa aktualna jest nietylko u naszych sąsiadów...

Historja hokeju na lodzie

Jeden z najulubieńszych dziś i najbardziej popularnych sportów zimowych, to hokej na lodzie. Nie jest to jednak sport nowy, ani młody. Ojczyzną jego jest Fryzlandja, ów kraj podbiegunowy, odkryty w XV w. przez weneckiego żeglarza Zeno, a identyczny prawdopodobnie z dzisiejszą Grenlandją.

Wkrótce pojawił się i w Europie, zwłaszcza w Holandji, jak tego dowodzą liczne obrazy holenderskich mistrzów z szesnastego wieku.

Nie mniejszą popularność zdobył też i w Anglji, gdzie grano gra toczyła się nie na lodzie, lecz na murawie.

Dopiero jednak w r. 1860 Kanada wprowadza sportowy hokej na lodzie — i od tego czasu rozpoczyna się zwycięski pochód tego pięknego sportu, który dotychczas ciągle jeszcze w Kanadzie święci swe największe triumfy. Dość powiedzieć, że na terenie Kanady istnieje 500 wspaniałe urządzonych krytych terenów do tej gry, — nie licząc terenów naturalnych na licznych stawach i jeziorach.

Z WYDAWNICTW

„Kobieta w świecie i w domu" nr. 4 przynosi ciekawe i piękne modele strojów i robót kobiecych. W dziale literackim dobry artykuł „O naszych córkach", ilustrowany reportaż „Zima na Bukowinie", i nowelka „Panienka", korespondencje z wysp hawajskich „Ula, ulla" itd.

Aktualne i trafne są uwagi o „Wielkopostnej wstrzemięźliwości" i strojach ślubnych („Konsekwencje karnawałowe"). Młode mężatki zainteresuje artykuł „strategja doświadczonych", — pozatem zwykłe rubryki, porady, wskazówki i bogata korespondencja „Między nami".

OPIEKA NAD DZIECKIEM

Przy opiekowaniu się dzieckiem szczególnie troszczyć się należy o utrzymanie w czystości i zdrowiu jego ciałka co nie jest rzeczą łatwą wobec niezwykłej wrażliwości i delikatności skóry dziecka. Aby zapobiec wszelkim czerwienieniom skóry, wyprzeniom, łeżynom, zaognieniom, swędzeniu, tarciu — należy dziecko dokładnie przysypywać Pudrem Bebe Szołmana, od lat przeszło 35 zalecanym przez lekarzy specjalistów. Puder Bebe Szołmana działa łagodnie jak pyłek, przesiany przez gęste sita jedwabne, przygotowany w idealnych warunkach higienicznych, przy zastosowaniu najnowocześniejszych sposobów, jest doprowadzoną do perfekcji zasypką dla dzieci. Dr. S. A.

Karnawał w stolicy byłej Galicji

Miał Lwów od wieków tradycję miasta wesołego, gdzie życie przelewało się szerokim, huczącym strumieniem. Ten gród kresowy, Ojczyźnie swej semper fidelis, lubił i umiał się bawić, nie ustępując i na tem polu stolicy. Bawiło się zasobne mieszczaństwo, bawiła się arystokracja i szlachta, zjeżdżając tu licznie w okresie karnawału, a zwłaszcza w okresie słynnych na cały kraj kontraktów lwowskich.

Przyszły ciężkie czasy rozbiorowe, niosąc ze sobą ucisk i tłumienie wszelkich żywych objawów życia narodowego. Lwów zmieniał pomału swą fizjonomję. Niewielkie, bo zaledwie trzydzieści kilka tysięcy mieszkańców liczące miasto staje się nagle stolicą nowej prowincji, Galicji, — w której rej wodzą obce przybłędy w austrjackich mundurach i obcisłych fraczkach.

Ale Lwów nie traci fantazji i animuszu. Bawi się, szaleje poprostu, jakby szukając w zabawie zapomnienia, ucieczki przed szarą, bolesną rzeczywistością.

Pomagają mu w tem świadomie władze austrjackie, na tym jednym punkcie dziwne ustępliwe i uprzejme.

* * *

Karnawał lwowski z końcem ośmnastego wieku rozpoczynał się normalnie z chwilą otwarcia dorocznych kontraktów lwowskich, na które zjeżdżało się masowo bogate ziemiaństwo. Toteż jednym z pierwszych aktów, ogłoszonych przez lwowskie gubernjum pa zajęciu Galicji, było rozporządzenie z dnia 26 października 1772 roku, zapowiadające wznowienie kontraktów lwowskich już w roku następnym.

Termin rozpoczęcia kontraktów, wyznaczony początkowo na święto Trzech Króli, przesunięty został w roku 1798 na dzień pierwszego lutego każdego roku. — I termin ten utrzymał się aż do roku 1808, kiedy przesunięty został na dzień 24 ma-ja.

Te lata, od 1773 do 1808, to najświetniejszy chyba okres w życiu towarzyskiem ówczesnego Lwowa. Lwów szalał poprostu. Bawili się wszyscy, od plebsu począwszy do najwyższej arystokracji. A okazji do zabawy nie brakowało. Bawiono się w pałacyku słynnej pani Kossakowskiej pod świętym Jurem. Wspaniałe przyjęcia urządzali Potoccy, Baworowscy, Tarnowscy, starosta Kalinowski i gubernator Uermenyi.

Miłośnicy zielonego stolika zbierali się w gościnnych salonach księcia Adama Ponińskiego, gdzie niejedna magnacka fortuna w ciągu jednej nocy zmieniła właściciela.

A kto chciał swobodniejszej zabawy, ten szedł do Hechta albo do Bulli.

* * *

Gdzie dziś wznosi się gmach Nowego Uniwersytetu na tle zieleni Ogrodu Kościuszki, — tam z końcem ośmnastego wieku stał długi jednopiętrowy budynek ozdobiony kolumnadą. Był to hotel, restauracja i kasyno Hechta, gdzie w czasie kontraktów rojno było, gwarno i wesoło. Ubijano tam grube interesy, spijano beczki wina, bawiono się w separatkach grą w karty. Wieczorami zaś tańczono do upadłego, przy dźwiękach sentymentalnego wiedeńskiego walczyka, który pomału zaczynał rugować nasze narodowe, stare tańce.

Niemniej wesoło bawiono się też w salach redutowych, dobudowanych w roku 1795 przez sprytnego Niemca, Franciszka Bullę, do dawnego kościoła pofranciszkańskiego na placu „Castrum". Kościół ten, po zniesieniu zakonu Franciszkanów, przeszedł w roku 1785 na własność rządu austrjackiego, który urządził w nim salę teatralną. Odkupił go Bulla w r. 1792 za bezcen, wykorzystując swe stosunki i wpływy, i dobudował do niego sale redutowe, w których urączał corocznie w karnawale huczne reduty i bale.

Na zabawy te, na których wstęp kosztował złotego od osoby, przybywały zawsze setki osób z najlepszego towarzystwa. Po salach, kiepsko oświetlonych świecami i lampami „arganckiemi", snuły się fantastyczne pary w kostjumach rycerzy, Turków, Hiszpanów, Murzynów, racząc się lodami i chłodnikami w bufecie...

Nie zapomniano też i o dzieciach. W pierwszorzędnej podówczas restauracji „Pod trzema hakami", należącej do Żorża, Hofmanna, urządzano „Kinderbale", na których wodzirejem bywał niemiecki nauczyciel tańca, Kurtz.

* * *

A w ślad za śmietanką towarzystwa szła i ulica. Tam zabawa odchodziła huczniejsza, swobodniejsza. Grały temperamenty i niejednokrotnie patrole wojskowe musiały wkraczać do osławionej szynkowni Karola Thürego, znanej w ówczesnym Lwowie pod nazwą „Veteranische Höhle". Płaciło się tam zaledwie 30 krajcarów wstępu — i można było hulać do białego dnia, popijając kiepskie piwo i zagryzając kwargle... Szynk ten mieścił się przy ulicy Kurkowej i miał przez długie lata ustaloną smutną sławę prawdziwej mordowni.

Zresztą tańczono w każdym niemal szynku, władze bowiem austrjackie nie robiły na tym punkcie żadnych trudności: wystarczyło złożenie opłaty około dziesięciu zł., by uzyskać pozwolenie na utrzymywanie w lokalu muzyki przez cały karnawał.

* * *

Nie dziwota, że karnawał lwowski i okres kontraktów, były prawdziwem żniwem dla lwowskiego kupiectwa. Panie robiły zakupy w pierwszorzędnych sklepach Nagażewskiego, Machowskiego, Koberweina. Kupowano odzież, meble, pojazdy, konsumowano olbrzymie ilości słodyczy i bakalij. Nawet księgarze zacierali ręce: oprócz tradycyjnych kalendarzy udawało się nieraz sprzedać przybyszom z prowincji jakąś książkę...

A już najlepsze chyba interesy robiono na mieszkaniach, których ceny nie ustępowały cenom wiedeńskim. — Za pokój, skromnie umeblowany, płacono najmniej sześćdziesiąt dukatów rocznie. Gdy zaś zbliżała się pora kontraktów, skromne rodziny urzędnicze i mieszczańskie odnajmowały każdy wolny kącik w swych mieszkaniach, każąc sobie słono za to płacić chwilowym sublokatorom. Kwitnął już wówczas pasek mieszkaniowy, choć wyrażenie to nie było jeszcze znane...

Tak bawił się Lwów, na przełomie ośmnastego i dziewiętnastego wieku...

(kr.)

Od renesansu do chwili obecnej

II.

Natomiast opracowanie sztuki XIX. i XX. w. przez prof. Szydłowskiego stoi w jaskrawym kontraście do zakreślonych poprzednio rozwojów. Autor nie zdołał znaleść wspólnej podstawy ideowej dla całokształtu, nie umie ustosunkować poszczególnych dziedzin sztuki wzajemnie do siebie, podczas gdy stwierdzenie przewagi malarstwa nad innemi dziedzinami, oszczędziłoby zapewne autorowi biadania nad upadkiem architektury i rzeźby. Wogóle żali się prof. Szydłowski na panujący w sztuce XIX w. chaos, zarzuca temu okresowi brak jednolitości stylowej. Zapewne, że obraz sztuki XIX w. jest bardziej skomplikowany niż kiedykolwiek, wymaga jednak przedewszystkiem objektywizmu, a następnie pozytywnego stanowiska autora wobec problemów, które wnosi sztuka danego okresu. Trudno się zgodzić z uwagami krytycznemi prof. Szydłowskiego który gani lub chwali poszczególne zjawiska, i to nietylko jednostkowe, ale całe prądy artystyczne. Zwłaszcza zaś niektóre z kierunków malarstwa XX w. ocenia autor negatywnie, uważa je wręcz za błądzenie lub pomyłkę i nie szczędzi im uwag krytycznej natury.

Nie umie też autor zastosować jednolitej metody w określaniu poszczególnych fenomenów, niejednokrotnie ogranicza się tylko do wymienienia treści tematowych, omijając walory formalne w zupełności. To też chcąc umiejscowić danego artystę w ogólnym rozwoju, miast kryterjów rzeczowych stosuje suchą ocenę. Wobec tego nie zdziwi charakterystyka tego rodzaju — J. Dupre niczego nie zepsuł ale i wielkości nie osiągnął. — Czytając cały ustęp odnośny, trudno się dowiedzieć, co Dupré miał zepsuć, a raczej czego nie zepsuł.

Nie kładzie też prof. Szydłowski właściwego nacisku na poszczególne prądy artystyczne, co wypływa właśnie z braku znalezienia wspólnej podstawy ideowej. Autor gubi się w nadmiarze indywidualności, a gdy znajdzie się wobec jednostki o niezwykłem natężeniu twórczem, nie zdoła jej wyjaśnić w ogólnym rozwoju.

Ten brak podłoża ideowego sprawia też, że autor nie dał właściwego obrazu sztuki polskiej 19-go i 20-go wieku. Zwłaszcza wobec rozkwitu malarstwa polskiego w dobie impresjonizmu staje bezradnie. Konstatuje wprawdzie, że malarstwo stanęło wówczas na poziomie europejskim, ale nie zdoła wyjaśnić czynników, które złożyły się na ten fenomem. Doraźnie stara się scharakteryzować poszczególne jednostki artystyczne, co jednak wypada dość blado.

Opieranie się o jednostki, a nie całe prądy artystyczne sprawia, że autor zniekształca właściwe oblicze sztuki polskiej. Jedynem przeciwstawieniem się impresjonizmowi w sztuce polskiej według podręcznika Szydłowskiego jest Żak. Żak jednak zajmuje w sztuce polskiej stanowisko raczej odosobnione, autor nie dostrzega natomiast zbiorowego wysiłku, objawiającego się jako reakcja na impresjonizm, która przybrała zdecydowaną postać w formiźmie. Rola jego dla dalszego rozwoju sztuki polskiej jest nader doniosła.

Wprawdzie wybór artystów, którzy mają charakteryzować epokę, jest w podręczniku Szydłowskiego często dowolny, dziwi np. zupełne pominięcie twórczości Wojtkiewicza (stosunek Gide'a do jego sztuki świadczy chyba dostatecznie o jej wielkości), brak Mierzejewskiego (co tłómaczy się pominięcem formizmu), a wreszcie w sztuce doby ostatniej jedynie nazwisko Żaka obok Gankiewicza, nie może oddać właściwego charakteru naszego malarstwa, gdzie szereg nazwisk zgoła pierwszorzędnych (Tadeusz Makowski, Wacław Wąsowicz, Kamil Romuald Witkowski), może lepiej reprezentują wysiłek polski.

W ustępie poświęconym rzeźbie polskiej współczesnej spotka nas też niespodzianka. Dunikowskiemu przeciwstawia Szydłowski rzeźbę Kuny, który ma być „najlepszym przedstawicielem neoklasycyzmu w Polsce, podczas gdy podobne tendencje odzwierciadlają się również w niektórych rzeźbach E. Wittiga". Nie wiem czy prof. Szydłowskiemu wiadomo, że podczas, gdy Kuna w roku 1911 daje pierwszą główkę stylizowaną i archaizowaną, ten sam rok przynosi rzeźbie polskiej pierwszy triumf europejski przez wystawienie w Paryżu Ewy Wittiga, a i też dalsze jego dzieła (Pomnik Lotników) są realizacją postulatów rzeźby nowoczesnej, której pionierem na terenie Polski był bezsprzecznie Wittig.

Toteż w publikacjach zagranicznych reprezentują rzeźbę polską obok Dunikowskiego, Wittig, Zamoyski i Szczepkowski, którego nazwiska prof. Szydłowski wogóle nie wspomina.

W dowolności operowania nazwiskami łatwoby się dopatrzeć jakiejś tendencji, sądzę raczej, że wypływa to z niedość głębokiego wniknięcia w całość rozwoju, np. brak nazwiska Despiau najbardziej dziś rreprezentatywnego rzeźbiarza we Francji, natomiast oczywiście nie pominął prof. Szydłowski osoby J. Lipszyca, żyda z Polski. Zestawienie tych faktów posiada swą wymowę.

um



Fragment starego portu w Marsylji

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Chwilowo na pierwszy plan wysuwają się szarfy, jako przybranie każdej, choćby najskromniejszej toalety wieczorowej. Bardzo to praktyczne, a ładne: zapomocą odpowiednio dobranej szarfy możemy zmienić zupełnie wygląd np. zwykłej czarnej sukienki. Szarfy te bywają wąskie i bardzo szerokie, zawiązane w ładny węzeł, a końce ich opadają albo z boku, albo z przodu.

Robi się je albo z materjału w kolorze żywym, kontrastowym, albo z tego samego materjału co suknia. W tym ostatnim wypadku musi być podszyta zupełnie kontrastowym materjałem. Najefektowniejsza jest kombinacja czarnego z czerwonym.

— Pailletki na sukniach wizytowych naszywa się chętnie w desenie szkockie, najczęściej w kombinacji kolorów: zielonego i niebieskiego w rozmaitych odcieniach.

— W płaszczach wiosennych przeważają materjały w dużą kratkę.

— Pojawiają się w pierwszorzędnych magazynach paryskich luźne płaszcze, przypominające krojem burnusy.

— Wracają do łaski staroświeckie mantylki. Są to pelerynki z georgette lub tiulu, przybrane wązlutkiemi falbankami. Im więcej tych falbanek, — tem ładniej.

— Z klejnotów ciągle modna staroświecka złota biżuterja. Widuje się też kolje z turkusów. Pozatem perły.

— Według wiadomości, jakie nadchodzą z Londynu, sezon wiosenny stać będzie pod znakiem... bawełny. Oczywiście kunsztownie, artystycznie przerobionej, marszczonej, prążkowanej, gładkiej, szorstkiej, w węzełki, — aż do bawełnianych tweedów i welwetów włącznie. Dlaczego właśnie bawełniane? Któż to zgadnie. Tak zadecydowano w Londynie. A modny będzie podobno tylko kolor niebieski we wszystkich odcieniach, od jasnego błękitu nieba aż do intensywnej ultramaryny. A no, zobaczymy!...



Kostjum z bronzowej wełny, szalik i pasek czerwone. Kapelusz z tego samego materjału, co kostjum.

Kobieta o płaskim biuście

— Najlepiej wygląda w bluzkach, suto z przodu drapowanych, lub przybranych szerokiemi wolantami.

— rękawy powinna nosić bufiaste, a przy sukni dekolt wycięty w kwadrat.

— Odpowiednie są dla niej pelerynki przybrane szeroką riuszką lub wolantami.

— natomiast unikać powinna obcisłych sweaterów, uwydatniających jeszcze silniej ten drobny defekt.

— taksamo nieodpowiedniem będzie kombinowanie rękawów w innym kolorze niż bluzka lub kamizelka, przez co wydaje się jeszcze szczuplejsza.

Na przed - i popołudnie

Ulubioną sukienką przedpołudniową jest t. zw. „garsonka", t. j. sukienka złożona ze spódniczki i bluzki-żakieciku zapinanego sprzodu na duże, ładne guziki. Zwykle w ciemnych kolorach, bronzowym, bardzo modnym granatowym, ciemno-zielonym lub w czarnym. Żakiecik przyozdobiony jest jakimś jasnym, białym, różowym, kremowym kołnierzykiem lub żabocikiem.

Ze sportową sukienką rywalizuje spódniczka i pulower. Jest to najwygodniejszy strój do pracy. Spódniczka przeważnie ciemna, gładka, pulowerki w najrozmaitszych odcieniach, zawsze dobrane odcieniami do spódniczki. Również chętnie jak pulowerki nosi się bluzki sportowe, które odświeżają garderobę. Bluzki przedpołudniowe mają krój wybitnie sportowy, małe wycięcie u szyi i stojące kołnierzyki. Robi się je przeważnie z przeróżnych gatunków wełny.

Popołudniowe sukienki w tym sezonie są robione albo z matowych ciężkich jedwabi, albo z cieniutkich wełen. Co do kolorów, to najmodniejszy jest lansowany powszechnie granatowy, następnie wszelkie odcienie czerwieni w ciemniejszych jednak tonach, bleu-noir (ciemno-niebieski), zielony w odcieniu złotym.

Wełna na suknie popołudniowe zdobyła sobie prawo obywatelstwa przedewszystkiem dzięki swoim rozlicznym, prześlicznym gatunkom. Suknie wełniane mają niezastąpioną niczem zaletę, że są bardzo trwałe i można je kilka razy nawet przerobić.

—X—

Wiosenne kostjumy

Pierwsze ich modele nie wyglądały zachwycająco. Żakieciki zupełnie luźne, niemal workowate, — zupełnie bez guzików, z przodu otwarte. Spodnice ułożone w poprzeczne fałdy.

Pewną żywszą modę wnoszą szerokie paski skórkowe oraz szale, z końcami zwisającemi do tyłu.

Kostjumy przeważnie w kolorach brunatnych i zielonych. Paski i szale do bronzowego w kolorze ceglastym lub rdzawym, do zielonego w czerwonawym lub pomarańczowym.

Kostjumy te wymagają bardzo starannego kroju, a odpowiednie są tylko dla osób szczupłych i wysokich.

Suknia ślubna

Ostatni tydzień — w tym roku wyjątkowo długiego karnawału! I w niejednym wypadku najmilszy, oczekiwany z tęsknotą i radością epilog — przed ołtarzem.

Jak się ubrać do ślubu? Otóż na tym punkcie moda ustąpić musi potężniejszej jeszcze, nieubłaganej pani: tradycji. Precz z wszelką srebrną lamą, choćby najpiękniejszą, najcenniejszą, choćby wzorowaną na sukni księżniczki Mariny!

Suknia ślubna, musi być biała, niepokalanie biała, bez żadnych dodatków. Rękawy długie, dekolt bardzo niewielki — no i naturalnie, nieodzowny tren!

Welon z białej iluzji, upięty wysoko nad czołem, wianuszek z białych kwiatów, najlepiej pomarańczowych. (Widuje się już i wianuszki z konwalji, zresztą bardzo ładne). Białe rękawiczki i pantofelki dopełniają stroju.

A więc — tak jak było przed dziesięciu, czy dwudziestu czy stu laty. I tak, zdaje się, zawsze zostanie, — bo żadna panna młoda nie zrezygnuje z tego tradycyjnego stroju. Tembardziej, że wygląda się w nim tak uroczo...

Ptysie pieczone

Proporcja: 2 szklanki wody, 20 dkg. masła 40 dkg. mąki pszennej, 15 dużych albo 18 mniejszych jajek.

Zagotować wodę z masłem. We wrzący płyn sypać (na ogniu) osianą mąkę, mieszając szybko łyżką drewnianą, aby się grudki nie wytworzyły. Wyrabiać już na nieco wolniejszym ogniu, łyżką drewnianą, podgrzewając ciasto dopóki nie odstanie całkowicie od rondla. Zdjąć z ognia, wbijać po jednem jajka, a po każdem jajku wyrabiać tak długo łyżką drewnianą, dopóki się całkowicie jajko z ciastem nie połączy. Po wbiciu wszystkich jaj wyrabiać 10 minut.

Ilość jajek używana do ciasta ptysiowego jest ściśle zależna od stopnia wysuszenia mąki. Mąka sucha wchłonie więcej jaj — mąka wilgotna — mniej. To też dodać same żółtka. Ciasto prawidłować, czy pozostałe użyć w całości, czy też dodać same żółtka. Ciasto prawidłowo przyrządzone powinno być gładkie i sztywne. W żadnym razie jednak nie może, wzięte na łyżkę rozlewać się na niej.

Następnie szprycujemy na blachę bardzo czysto wymytą i sucho wytartą, niczem nie smarowaną, ani podsypywaną niewielkie kulki, albo podłużne ciastka. Piec trzeba w bardzo gorącym piecu, żeby prędko rosły i rumieniły się na jasno — złoty kolor. Gdy wyrosną i nabiorą tej barwy, podsuszyć je w miernie gorącym piecu inaczej będą miały w środku lepkie, surowe ciasto.

Upieczone i wystudzone ptysie przekrawa się na pół, napełnia w chwili wydania na stół bitą śmietanką ocukrowaną cukrem z wanilją, cukruje po wierzchu przez gęste sitko. Nie trzeba ich napełniać zawczasu kremem, bo szybko wilgną i tracą wykwitny smak.

O gorsecie

Kobieta, pragnąca zachować ładną i zgrabną figurę, nie obejdzie się bez gorsetu. Dzisiejszy gorset nie ma jednak nic wspólnego z dawną osławioną sznurówką. Skrojony należycie, z odpowiedniego, specjalnego materjału, nie uciska, nie męczy w noszeniu, a nadaje całej sylwetce piękną, estetyczną linję, podkreśla naturalny wdzięk, a w razie potrzeby „poprawia" znakomicie pewne drobne nieforemności.

Zwłaszcza niezbędny jest on przy strojniejszych toaletach wieczorowych i balowych.

Musi jednak być dostosowany ściśle do danej figury, dlatego trzeba bardzo starannie go dobierać.

—x—

Nasza bielizna

Nazwa „bielizna" wydaje się dziś jakoś przestarzała. Łączy się z nią pojęcie „bieli"... A tymczasem bielizna damska mieni się dziś wszystkiemi niemal kolorami raczej pastelowemi, delikatnemi, subtelnemi, jak kwiaty. Z zasady nie nosimy białej!

I nie używamy do niej wogóle płótna. Crepe de chine, woale, jedwabne musliny i satyny, — to jedyne odpowiednie materjały. Przybiera się także powiewne arcy dzieła koronką czy delikatnym haftem. Ostatnią nowością są materjały z tłoczonemi deseniami kwiatów polnych i całych bukietów, — co pozwala obejść się bez jakiegokolwiek dodatkowego przybrania.

Bielizna dzienna musi przylegać dobrze do ciała, by nie psuć i nie deformować naturalnej sylwetki kobiecej! Dlatego kraje się ją zawsze skośnie.

Natomiast koszule nocne, szerokie i wygodne, przybieramy obficie rozmaitemi drobiazgami, kołnierzykami, szarfami, koronkami itp.

Kostjum sportowy dla chłopca 8-10 l.

Potrzeba na to 1.80 mtr. materjału o szerokości 1.40 mtr.

Przód bluzki krajany bez szwu, zapina się na zatrzask błyskawiczny.

Rękawy przy manszecie zmarszczone. Kołnierzyk podszyty jedwabiem.

Spodenki zapinane na 2—3 guziki, u dołu ujęte paskiem zapinanym na jeden guzik.

Ubranko to jest bardzo łatwe do uszycia w domu, trzeba tylko dokładnie dostosować poszczególne wymiary do wzrostu chłopca, modyfikując odpowiednio w miarę potrzeby wymiary zaznaczone na rysunku.

